NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 27 maja 1905 r. Nr. 22.

Bomba dla generał-gubernatora Warszawy.

(Do artykułu na str. 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku!

Krwawy 1 maja w Tarnowie.

Odnośnie do artykułu, zamieszczonego pod tym tytułem w nrze 20 naszego pisma, objaśnionego ryciną na tytułowej stronie otrzymujemy z c. k. starostwa tarnowskiego następujące sprostowanie:

„Cała scena na rycinie przedstawiona, a w artykule wyżej wspomnianym opisana, ani w dniu 1 Maja br. ani wogóle nigdy w Tarnowie się nie wydarzyła. W szczególności niezgodne z prawdą jest, jakoby w chwili, gdy pochód robotniczy ze sztandarem wszedł na ulicę Krakowską, zastąpili mu drogę policyanci i żandarmi, rozpędzając pięścią i bagnetami spokojny tłum parotysięczny, a następnie ze wszystkich bram i zaułków wypadły oddziały żandarmów i policyantów aresztując demonstrantów. Nieprawdę jest, że bójka ta przeniosła się następnie na ulicę Wałową, gdzie policyanci dobyli szabel i polała się krew demonstrantów. Nieprawdą jest, żeby ktokolwiek z demonstrantów został przez policyę lub żandarmeryę raniony lub chociażby tylko potłuczony. Nieprawdą wreszcie jest scena wyrywania sztandaru, bo wogóle żadnego sztandaru nie niesiono.

Natomiast prawdą jest, że w dniu 1 Maja br. wieczór powracało kilkuset uczestników zabawy, urządzonej przez partyę socyalno demokratyczną w karczmie zamiejskiej, do miasta i tymże zastąpiło drogę w ulicy Krakowskiej czterech policyantów miejskich, oraz dwóch żandarmów, wzywając do rozejścia się, albowiem urządzenie pochodu uroczystego przez miasto nie było wcale w myśl ustawy u władzy zgłoszone, a więc nie mogło być dozwolone. Demonstranci odtrącili siłą na bok policyantów i podążyli bezładnie i z krzykiem w górę ulicy, przez nikogo nie zatrzymywani, gdyż ani w sieniach kamienic, ani zaułkach nie były poukrywane żadne oddziały policyi, tem mniej żandarmeryi (w całem mieście było razem 8 żandarmów obecnych). Przy tej sposobności przyaresztowany został przez żandarma pewien wyrobnik, za nieusłuchanie wezwania i tego odprowadzał następnie policyant miejski do budynku policyjnego w śródmieściu. Gdy ów policyant wraz z aresztowanym i drugim policyantem, który doń się przyłączył po drodze, przechodzili koło hotelu Krakowskiego, zastąpił im drogę tłum wyrobników i czeladników, którzy rzucili się na policyantów prowadzących aresztanta i poczęli ich bić kijami, aż przemocą uwolnili aresztowanego. Dalej prawdą jest, że chwilę później zebrał się ponownie tłum demonstrantów przed budynkiem policyi miejskiej i wznosząc okrzyki „hańba policyi" rzucił się bez żadnego powodu na stojących spokojnie przed bramą kilku policyantów i pobił kilku z nich ciężko kijami i kamieniami. Wtedy to jeden z policyantów wyjął wprawdzie pałasz w obronie własnego życia, atoli nikogo nie uderzył. Na to dopiero nadbiegła patrol żandarmeryi, a obroniwszy napadniętych dopomogła policyi do aresztowania kilkunastu napastników, którzy zostali odstawieni do c. k. Sądu. Ten jest prawdziwy stwierdzony zeznaniami świadków i śledztwem sądowym o gwałt publiczny spełniony na osobach policyantów przebieg całego zajścia, które miało miejsce dnia 1 Maja b. r. w Tarnowie".



Od Redakcyi.

W następnym numerze naszego pisma rozpoczynamy druk senzacyjnej powieści, osnutej na tle ostatnich wypadków w Rosyi i Królestwie Polskiem, pt:

„BOJOWNICY"

Powieść ta, napisana przez jednego z najwybitniejszych naszych powieściopisarzy, ze zrozumiałych łatwo powodów ukrywającego się pod pseudonimem, w mistrzowskich, pełnych siły i prawdy obrazach przedstawia przełomową chwilę, jaką dzisiaj przebywa Królestwo Polskie, walcząc o prawa człowieka. Nie wątpimy, że powieść ta obudzi wśród Czytelników najżywsze zajęcie, tembardziej, że jest to pierwsza powieść, przedstawiająca krwawe dni Warszawy i Królestwa.

Powieść będą zdobić ryciny, pędzla jednego z najlepszych artystów malarzy polskich. Rozpoczęcie druku „Bojowników" jest najlepszym dowodem, że Redakcya ze swej strony dokłada wszelkich starań aby pismo nasze stało się dla Czytelników prawdziwą biesiadą, prawdziwie interesującym obrazem wypadków zaszłych w ciągu tygodnia. Mamy nadzieję, że Czytelnicy ocenią nasze usiłowania i „Nowości" rozpowszechniać się będą coraz więcej. A nie powinno ich brakować w żadnym domu polskim. ***Redakcya.***

Bomba dla generał-gubernatora Warszawy.

(Do illustracyi tytułowej).

Warszawa, pomimo urzędowych i nieurzędowych zapewnień i raportów, nie złożyła wcale broni u stóp caratu. Owszem, ciągle gotowa i czujna, śledzi za zbirami i szpiegami rządowemi i karze ich doraźnie za zdradę i przedajność. Mówimy tu oczywiście o zrewoltowanej Warszawie demokratycznej, o Warszawie robotniczej, gdyż większa część inteligencyi i cała arystokracya potępia głośno krwawe odwety gnębionego ludu.

Dnia 19 b. m. znowu przemówiła rewolucyjna Warszawa, przemówiła strasznym głosem bomby, której echo obiegło w jednej chwili całą Europę i w Petersburgu zmroziło krew w żyłach północnego satrapy.

W piękne słoneczne południe, gdy tłumy publiczności przeciągały ulicami, nagły, piekielny huk rozległ się po mieście. Rychło zoryentowano się, że katastrofa przydarzyła się na ulicy Miodowej i w tym kierunku pobiegły tłumy, karetki pogotowia i oddziały kozaków z policyą.

Przenieśmy się i my na miejsce wypadku.

Ulica Miodowa. Front znanej cukierni Trojanowskiego kompletnie zburzony, gruzy zalegają chodnik i ulicę; naprzeciw, w sklepie obrazów, wystawa rozbita, a towar połamany i popalony leży na ulicy. Bruk na olbrzymiej przestrzeni powyrywany, szyby kamienic wzdłuż obu stron ulicy powybijane. A wśród tych gruzów i zgliszczy walają się resztki zwłok ludzkich. Trudno je rzeczywiście rozpoznać, trudno w tych krwawych kawałach mięsa dopatrzeć się podobieństwa do ludzkich członków. Kości powychodziły z ciała, mózg z czaszki. Trzech ludzi padło natychmiastową ofiarą wybuchu. Jeden ma oderwane nogi, poszarpane ręce i głowę na pół oderwaną. Obok leży zabity również z poodrywanemi członkami, a naprzeciw jakiś trzeci człowiek z opalonemi włosami i poszarpanem ciałem. Prócz tego kilku przechodniów leży bezwładnie, lub wije się w strasznych boleściach. Wśród trupów i rannych uwija się służba pogotowia, kozacy i wojsko otoczyło kordonem miejsce krwawego dramatu.

A dramat ten rozegrał się w sposób następujący. Do cukierni Trojanowskiego przyszedł wraz z dwoma towarzyszami ubogo ubrany człowiek. Zachowanie jego zwróciło uwagę dwóch ludzi, siedzących przy innym stoliku. W chwili, gdy ten się podniósł, rzucili się oni z tyłu na niego, a wtedy pojmany ostatnim wysiłkiem ramion dobył z zanadrza bombę i rzucił przed siebie. Bomba ta zrobiła owo spustoszenie, które próbowaliśmy na wstępie przedstawić; tasama bomba pozbawiła życia sprawcę, jak skonstatowano szewca Dobrowolskiego i dwóch szpiclów, którzy rzucili się na niego, Lebodjewa i Korotkija. Bomba, która przedwcześnie wybuchła, przeznaczoną była dla generał-gubernatora Maksymowicza, który tamtędy miał z soboru z nabożeństwa wracać. Zamierzony, choć nieudały odwet nie był wcale niespodzianką wobec niecnego, podłego postępowania Maksymowicza z demonstrantami, strejkującymi studentami i wobec postawy jego względem chłopskich ruchów.

Na illustracyi naszej przedstawiona jest chwila wybuchu bomby. Widać też na niej całą grozę wybuchu. Bruk porozrywany, okna wybite, a wśród kamieni widać poszarpane członki ludzkie.

Poświęcenie nowej biblioteki uniwersyteckiej we Lwowie.

W poniedziałek, 22 b. m. odbyło się we Lwowie uroczyste poświęcenie nowego gmachu biblioteki uniwersyteckiej. Aktu poświęcenia dokonał dostojny arcypasterz ks. Józef Bilczewski, a wzięli w nim udział minister Piętak, przedstawiciele Rady szkolnej i namiestnictwa, rektorzy obydwóch uniwersytetów, krakowskiego i lwowskiego, i politechniki lwowskiej. Nie od rzeczy więc będzie wspomnąć kilku słowy o rozwoju tej biblioteki, będącej jednym z najpiękniejszych księgozbiorów na ziemiach polskich.

Biblioteka uniwersytecka we Lwowie zawdzięcza swe powstanie Józefowi II. Monarcha ten, fundując w roku 1784 uniwersytet lwowski, założył równocześnie bibliotekę, której zawiązek stanowił zbiór, pochodzący z daru rodziny Garellich i zbiory poklasztorne. Na fundusz zakładowy nowej skarbnicy wiedzy przeznaczył Józef II 11.000 złr., a nadto wyposażył ją dotacyą 400 złr. rocznie. Biblioteka ta znalazła pomieszczenie w murach klasztoru potrynitarskiego przy placu Castrum (dzisiaj cerkwi Preobrażenia) obok uniwersytetu, który mieścił się w tymsamym gmachu.

Aż do roku 1835 biblioteka pozostawiała wiele do życzenia pod względem ładu i porządku. Dopiero, gdy w roku 1835 zarząd biblioteką objął Franciszek Stroński, profesor filozofii na uniwersytecie, człowiek, obdarzony wybitnemi zdolnościami, a przejęty ważnością swego zadania i zamiłowany w zawodzie bibliotekarza, w zbiorach biblioteki, liczącej z końcem 1835 roku przeszło 45.000 tomów, zapanował w krótkim czasie ład. Zachęciło to szerszą publiczność do korzystania z jej zbiorów, tak, iż frekwencya wzrosła n. p. w roku 1843 ponad 21.000 czytelników, do której to cyfry w późniejszych czasach dopiero z końcem XIX wieku doprowadzić zdołano. I przyszedł rok klęski, pożogi i krwi rozlewu, rok 1848, który na kartach historyi Lwowa zapisał się krwawemi zgłoskami. Pożar, wzniecony podczas bombardowania miasta w listopadzie, nie ominął budynku bibliotecznego. Pastwą płomieni padły prawie całe zbiory, tak, iż zaledwie 10.000 tomów uratować zdołano.

Zasługą wyłącznie Strońskiego jest podniesienie w krótkim przeciągu czasu biblioteki uniwersyteckiej z tego strasznego upadku. Uporządkował on nietylko resztki, uratowane z morza płomieni, ale obywatelską swą działalnością i niezwykłą zapobiegliwością potrafił pozyskać dla powierzonej jego pieczy książnicy bardzo cenne dary, jak np. dary kuratoryi biblioteki Ossolińskich, Stanisława hr. Borkowskiego, biblioteki nadwornej rządu. W końcu obok zwyczajnej dotacyi rocznej, wynoszącej wówczas 1000 złr., uzyskał to, iż rząd wyznaczył nadzwyczajną dotacyę po 3000 złr. rocznie przez lat pięć. Umiejętne używanie tej dotacyi, jak również wcielenie wspomnianych darów, złożyły się na to, że już w roku 1858 zbiory biblioteczne liczyły zwyż 41.000 tomów. Uporządkowaną prawie zupełnie bibliotekę umieszczono naprzód u OO. Dominikanów, skąd w roku 1852 przeniesiono ją do gmachu uniwersyteckiego, który jak wiadomo — jest dawnym klasztorem trynitarskim.

W miejsce Franciszka Strońskiego, który w r. 1859 został dyrektorem biblioteki Jagiellońskiej, objął zarząd biblioteki lwowskiej Wojciech Urbański, uczony przyrodnik, fizyk. Pomimo, że nie mógł się może poszczycić taką znajomością rzeczy, jak Stroński, doprowadził do końca żmudną pracę uporządkowania zbiorów, nad któremi roztaczał opiekę swą aż do roku 1892. W okresie tym biblioteka wzrastała powoli nieco, a z darów, w tym czasie trzymanych przez nią, zasługuje tylko na wzmiankę dar ks. kanonika Formaniusza, obejmujący przeszło 10.000 tomów. W chwili, gdy



Poświęcenie nowej biblioteki uniw. we Lwowie: Gmach uniwersytetu lwowskiego.

w roku 1892 Urbański oddawał bibliotekę swemu następcy, liczyła ona już 115.000 tomów

Świetne zaiste czasy dla rozwoju biblioteki nastały z objęciem jej zarządu przez obecnego dyrektora, prof. dra Aleksandra Semkowicza. Znany historyk i autor pomnikowego rozbioru „Historyi“ Długosza, objąwszy opiekę nad zbiorami bibliotecznymi naszej *Almae Matris*, już od pierwszej chwili dokłada wszelkich starań, by zbiory biblioteczne jak najbardziej powiększyć. Starania te wydają sowite plony. W roku 1892 udało mu się pozyskać powiększenie dotacyi bibliotecznej do wysokości 8000 złr., a w parę lat później do 10.000 złr. Oprócz tego zasługą jego są dotacye nadzwyczajne, jak np. jednorazowa dotacya w kwocie 6000 na dział medyczny. Umiejętne zaś zużycie tych środków powiększyło zbiory biblioteczne i wzbogaciło ją w cenne dzieła. Podstawowa bowiem wartość dzieł, jest główną wskazówką przy zakupywaniu ich dla dzisiejszego dyrektora. Nic też dziwnego, iż biblioteka lwowska, licząca obecnie prawie 200.000 tomów, posiada wiele dzieł pierwszorzędnej wartości. Jego to staraniom zawdzięcza biblioteka pozwolenie od rządu na zabranie z registratur urzędów starych ksiąg i aktów, pochodzących z czasów Rzeczypospolitej polskiej. Tą więc drogą uzyskała biblioteka uniwersytecka tak cenne rzeczy, jak z namiestnictwa archiwum, odnoszące się do byłej ekonomii samborskiej, lub z krajowej dyrekcyi skarbu tz. „Einziehungs-Akten“ tj. akta, odnoszące się do objęcia królewszczyzn polskich przez rząd austryacki przy rozbiorze Polski.

Lecz z biegiem lat wraz z niezwykłym wzrostem zbiorów i stale zwiększającym się ruchem korzystających z tej skarbnicy wiedzy, odczuwać poczęto coraz dotkliwiej niedogodności lokalu w gmachu uniwersyteckim, gdzie mieściły się zbiory od r. 1852. I znowu na siwą głowę dyrektora biblioteki spadła nowa troska, może największa z dotychczasowych, o pozyskanie jakiegoś możliwego pomieszczenia dla zbiorów. Usilne jednak starania uwieńczył pomyślny skutek.

Reskryptem z dnia 30 marca 1901 roku zezwolił monarcha na wzniesienie gmachu bibliotecznego przy ul. Mochnackiego kosztem 520.000 koron. W myśl szkicu, rzuconego przez dra Haasego, dyrektora biblioteki uniwersyteckiej w Grazu, wykonano plany w porozumieniu się z rządem w departamencie technicznym namiestnictwa pod kierownictwem inżyniera G. Pężańskiego.

Roboty przygotowawcze rozpoczęto w pierwszych dniach maja roku 1901, roboty natomiast główne w dniu 15 czerwca tego samego roku. Częściowe oddanie gmachu do użytku biblioteki nastąpiło w październiku roku ubiegłego. Gmach utrzymany jest w stylu zmodernizowanego baroku. Przeszedłszy westybul, gdzie wśród malowideł, opartych na motywie „księgi latającej“, widnieje napis: „Vincent monimenta libelli“, dostajemy się widną klatką schodową na pierwsze piętro. Tu minąwszy wypożyczalnię, pokój katalogów i pokój dla czasopism, znajdujemy się w czytelni. Olbrzymia ta sala, wysoka na piętro, oświetlona jest światłem górnem i bocznem, padającem przez okna, z których roztacza się widok na ogród botaniczny. Wokoło pod ścianami stoją szafy z księgami, na środku znajdują się stoły dla pracujących, ogrodzone gustowną balustradą, wykutą z żelaza.

Do ożywienia wyglądu sali przyczyniają się wielce malowidła ścienne, dzieło artysty malarza Makarewicza, który wobec ogromu sali, nie posiadającej wybitnych cech architektonicznych, zdecydował się na traktowanie żywe, wziąwszy za podstawę kompozycyi dla ścian dłuższych, gdzie powtarzają się lunety, motyw księgi latającej „Epos pteroen“, na której są napisy: sławne zdania z Hippokratesa i Demokryta. Wazy greckie i sowy umieszczone na konsolach, dopełniają ornamentyki. Malowidła na krótszych ścianach przedstawiają alegorye czterech fakultetów. I tutaj odstąpił artysta od zwykłego pojmowania, tworząc dzieła, tchnące wielką oryginalnością kompozycyi.

Obok czytelni znajduje się główna książnica, wysoka na dwa piętra, oświelona światłem górnem. Przedstawia ona widok oryginalny. Gdzietylko okiem rzucić, żelazo, pod stopami, obok, nad głową, a z pośród lekkiej konstrukcyi wyglądają sale, zarezerwowane na przyszłość.

Na pierwszem piętrze mieści się także zbiór rękopisów, na drugiem zaś biura zarządu i pracownia dla badaczy rękopisów.

Kierownictwo budowy spoczywało w rękach inżyniera namiestnictwa p. G. Pężańskiego. Głównym przedsiębiorcą przy budowie była firma Bauer i Richtman. Konstrukcye żelazne książnicy i dachów szklanych nad czytelnią i książnicą wykonały fabryka sanocka i firma Piotrowicz i Schuman we Lwowie. Roboty ślusarskie oddano pracowni F. Swobody, a stolarskie firmom Bracia Wczelak, Hornung i Prugar.

Krótko mówiąc, gmach ten, nieodznaczający się monumentalną architekturą, pod względem wewnętrznego urządzenia jest ostatnim wyrazem techniki bibliotekarskiej, odpowiada w najwyższym stopniu swemu zadaniu, dając zbiorom wygodne pomieszczeniz i ułatwtając przystęp do korzystania z nich publiczności.

Przy sposobności przenosin zbiorów bibliotecznych do nowego gmachu, zmieniono cały system przechowywania i katalogowania książek. Dawny system szafowy ustąpił miejsca systemowi numerycznemu. Pracę tę, wymagającą przeszło dwa lata czasu, ukończono jeszcze przed przeniesieniem zbiorów do nowej siedziby, przyczem ostatecznie je uporządkowano.

Jak wielkie zaś znaczenie dla rozwoju każdej biblioteki ma wygodne pomieszczenie zbiorów, stwierdza fakt, że już w pierwszych miesiącach po otwarciu ponownem bibloteki dla publiczności frekwencya, tłumiona w ostatnich latach tylko brakiem miejsca, wzrosła olbrzymio. Dziś pod tym względem dorównywać zaczyna biblioteka lwowska drugiej książnicy uniwersyteckiej w monarchii, t. j. praskiej, a przewyższa znacznie nową bibliotekę grecką, która pod względem frekwencyi była w ostatnich jeszcze czasach poważną jej współzawodniczką.

Tak więc po długoletniem tułaniu się w ponurych murach gmachów poklasztornych, zbiory biblioteki uniwersyteckiej znalazły dzięki żelaznej woli ich opiekuna i przychylności rządu, wspaniałe i godne dla siebie pomieszczenie, co niewątpliwie wpłynie na świetność rozwoju dalszego tej instytucyi, nietylko pierwszorzędnego naukowego znaczenia, lecz spełniającej także niezmiernie doniosłą misyę społeczną, przez umożliwianie szerokim warstwem pracy naukowej. *Crescat et florescat.*

* * *

Podajemy w dzisiejszym numerze fotografię nowego gmachu biblioteki, oraz ogólny widok gmachu uniwersyteckiego. Nie możemy jednak powstrzymać się od zwrócenia uwagi, że gmach uniwersytecki nie odpowiada ani w części wymaganiom nowoczesnym.

Nie wątpimy też, że władze nasze postarają się o to, ażeby gmach uniwersytetu nie odnowić ale zbudować nowy, któryby odpowiadał w zupełności dzisiejszemu stanowi nauki. Wszakżeż nie trzeba zapominać o tem, że mamy jedynie dwa uniwersytety, na których z katedry wykładają w naszym w polskim języku.

Tembardziej więc powinniśmy dbać o to, żeby nauka polska, tak dzisiaj rozwinięta i na tak wysokim stopniu stojąca, że możemy śmiało powiedzieć, iż mimo niewoli i mimo ucisku ze wszech stron, nietylko żyjemy, ale rozwijamy się i idziemy naprzód, nie pozostając w tyle, że idziemy razem z innymi, żeby nauka nasza miała odpowiadające jej stanowisku ognisko. Posłowie nasi powinni się o to postarać, bo przecież chodzi o największą dla nas rzecz, o jeden z dwóch naszych uniwersytetów.



Poświęcenie nowej biblioteki uniwersyteckiej we Lwowie: Widok zewnętrzny gmachu.

KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

34 (Dokończenie).

— O, pani, pani! — szepnęła Zosia zdławionym głosem. — Wiem, jak wiele ci winna jestem... Kocham cię całą duszą. Żeby ci oszczędzić należyjszej przykrości lub zmartwienia, gotowa jestem wszystko poświęcić... i dom twój natychmiast opuścić... lecz nie żądaj odemnie, bym synowca twego pokochała, gdy już kocham innego.

— Komużeś serce oddała? — zapytała księżna dziwnie chłodnym tonem. — Odpowiedz szczerze. Jeśli to człowiek ciebie godny, jeśli pochodzi z uczciwej i przyzwoitej rodziny, a ty go kochasz... to związkowi waszemu sprzeciwiać się nie będę.

Zosia, mocno wzruszona, pochyliła czoło i szepnęła:

— Kocham pana Piotra Bułata.

— Ależ, moje dziecko, to człowiek nam zupełnie nieznany, równie tobie, jak mnie. Nic nie wiemy o jego rodzinie, ani o sposobie prowadzenia się, ani o jego przeszłości. Pokochałaś go, widocznie nie zastanawiając się nad tem, a co gorsza nie uprzedziłaś mnie o uczuciu, rodzącem się w twojem sercu... mnie, która jestem przecie prawie twoją matką...

To mówiąc siadła przy otwartem oknie, a w zasępionym jej wzroku wyczytała Zosia surowszy od wyrazów wyrzut i boleść głęboką.

— Więc kochasz tego młodego człowieka?

— Kocham...

— A czy on wie o tem?

— Nie, księżno pani, pan Piotr nie domyśla się nawet mojej miłości.

— Lecz, czy on ciebie kocha?

— Nie wiem. Zapewnić tylko mogę, że nie zdradziłam się przed nim z mojemi uczuciami. Ukrywam je w głębi duszy i nawet tobie, moja dobrodziejko, niebym nie powiedziała, gdybyś nie zaczęła mówić ze mną o miłości hrabiego Jerzego.

— To dobrze — odparła księżna. — Zobaczę... i rozmówię się z panem Bułatem dziś jeszcze, przed jego wyjazdem.

I gestem, w którem przebijało się zniechęcenie i niezadowolenie, połączone z bolesnym rozstrojem nerwów, pożegnała Zosię, która, ucałowawszy jej rękę, wyszła z salonu zalana łzami.

W ciągu tego, co wyżej, Piotr w swoich pokojach pakował się do drogi.

Lekkie pukanie do drzwi oderwało go od zajęcia. Podbiegł ku podwojom, żeby je otworzyć. Na progu ukazał się ksiądz Jan Wielogrodzki. Z ujmującą dobrocią, malującą się na jego pięknem i szlachetnem obliczu, wyciągnął obie ręce do młodzieńca, podając mu równocześnie gruby pakiet, złożony z kilku listów zastawnych Towarzystwa kredytowego ziemskiego.

— Przedewszystkiem, w imieniu mojej siostry, uiszczam należne ci honoraryum.

— Ależ to zbyt wiele, nad zasługę — rzekł Piotr zarumieniony.

— Nie, moje dziecko, zasłużyłeś zupełnie na przysłaną ci kwotę... a zresztą, niech te pieniądze staną się podstawą twego przyszłego dobrobytu, niech ci posłużą na wyjazd zagranicę dla dalszego kształcenia się w sztuce... Później, gdy już będziesz bogaty i sławny, podarujesz mi kiedy niekiedy jakiś drobny szkic na jednę z loteryj dobroczynnych, które zwykłem urządzać co roku...

— Nie dość, wielebny księże prałacie, że mnie tak sowicie wynagradzasz, lecz jeszcze dodajesz do wynagrodzenia wyrazy, budzące w umyśle wiarę w pomyślną przyszłość artystyczną. Jakże ja ci się za dobre twoje słowa wywdzięczę?

— Przychodząc od czasu do czasu do mego mieszkania w Warszawie, za kościołem Św. Jana, gdzie cię zawsze serdecznie, jak przyjaciela powitam.

— O, wiem, że jesteś uosobieniem dobroci!

— Moje drogie dziecko, jestem tylko człowiekiem, nie sądź zatem, abym był bez wad i ułomności.

Na twarzy Piotra malował się wielki smutek i wzruszenie, nad którem młody człowiek zapanować umiał; dostrzegł je ksiądz Wielogrodzki i rzekł do niego ze szczerem współczuciem:

— Prawdopodobnie z żalem opuszczasz ten dom staropolski, gdzie wszyscy byli ci życzliwi... a może nawet wynosisz z niego jakieś miłe wspomnienie.

— Wywiozę z tego zacnego domu wspomnienia, które nie zatrą się nigdy w mojej pamięci, wspomnienia najcenniejsze, małego przyświecać mojej smutnej przyszłości... bo niestety, nie mam prawa życia mego poświęcić kobiecie ukochanej. Przybyłem tu pełen nadziei, pełen ufności... a odjeżdżam z krwawiącem się i rozbitem sercem. Jestem bardzo nieszczęśliwy!... Kocham... a uczucie moje doprowadza mnie do szału...

— Odgadłem to, a może poniekąd już wiedziałem — rzekł ksiądz Jan, a głos jego drżał nieco — kochasz wychowanicę mojej siostry...

— Tak... kocham ją...

— Nie myślę czynić ci stąd wyrzutów. Nie mogłeś, zbliżywszy się bezwiednie do tego anioła, nie zapałać dla niej wielką miłością. Wiem nawet, że miłość twoja jest podzielaną, bo mi to przed chwilą powiedziała księżna, prosząc, byś wyjechał, nie pożegnawszy się z Zosią. Nie chciałem ci tego powiedzieć od razu, bo nie chciałem ci sprawić przykrości, ale teraz, po twojem wyznaniu, musiałem... dla jej spokoju i szczęścia. O, mój biedny chłopcze, więc tak bardzo ją kochasz?

— Niech ona o tem się nie dowie. Zaklinam cię na wszystko, księże prałacie, nie wspominaj jej o mojej miłości. Nie chcę, aby wiedziała, jak byłem szalony!... Zrozumiawszy, co się dzieje w mojem sercu, powinienem był z Zahajec uciekać, lecz zachwycony urokiem, jaki roztacza, nie mogłem... nie mogłem!... Kocham ją, lecz pragnę ukryć przed nią miłość moją; nie chcę obudzać w jej duszy wstrętu do takiego, jak ja paryasa, za to, że ośmielił się podnieść na nią oczy... za to, że jak szalony, ośmieliłem się ją pokochać...

— Żal mi cię szczerze — rzekł ksiądz drżącym od wzruszenia głosem, spoglądając na zegarek. — Za chwilę odjechać musisz. Powóz, który ma cię odwieźć do Lublina, czeka już przed pałacem. Mam nadzieję, że gdy powrócisz do Warszawy, gdzie czekają na ciebie koledzy i przyjaciele, gdzie wejdziesz znowu w dawny tryb życia, odzyszczesz równowagę umysłową i zapomnisz o Zahajcach... zapomnisz także o miłości, która jak barwny meteor zajaśniała nad widnokręgiem twojego smutnego istnienia.

— Księże prałacie, zapewniam cię, że już nigdy nie zobaczę się z panną Zofią... Uważam ją względem siebie za umarłą!... Niech księżna będzie spokojną, nigdy już do jej wychowanki się nie zbliżę... nigdy, nigdy!

— Wierzę twojemu słowu.

— Powiedz jej... jeśli kiedykolwiek o mnie mówić z tobą będzie... żem biedny nędzarz, urodzony w błocie ulicznem, lecz, że mam serce uczciwe... że hańba mego nazwiska, nie jest moją hańbą osobistą... że cierpię nie za własne błędy...

— Do kapłana mówiłeś, moje dziecko, a to, co mi powiedziałeś, uważam za wyznanie, uczynione na spowiedzi... Jedź już, jedź!... i zapomnij o Zosi.

— Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, żeby zapomnieć...

— Bóg z tobą!... Nie żegnam cię, bo się zobaczymy wkrótce, mówię więc tylko: do widzenia. Czekać na ciebie będę za parę tygodni w Warszawie, żeby cię pocieszyć i uspokoić...

Konie rżały przed pałacową kolumnadą, bijąc niecierpliwie kopytami o ziemię.

Piotr zbiegł szybko po schodach, żeby z nikim się nie spotkać, wsiadł do powozu... a rącza para rasowych rumaków poniosła go wyciągniętym kłusem po drodze, wysadzanej stuletniemi lipami.

X.

Na gościńcu, po którym mknęły konie, odwożące Piotra na dworzec kolei żelaznej w Lublinie, posuwał się wóz, zbudowany w kształcie wagonu, ciągniony z trudnością przez dychawiczną, wynędzniałą szkapę. Wlekła się ona ledwie noga za nogą, powoli, z wysiłkiem. Zachęcał ją kiedy niekiedy do żwawszego poruszania się miły, chociaż nieco ochrypły głos dziewczęcia, idącego obok i wołającego:

— Wio, Mazurek... wio, biedaku!

Za wozem postępowała stara baba, przeraźliwie chuda i wysoka, znana nam z pierwszego tomu naszego opowiadania. Od czasu do czasu klęła wszystkiemi przekleństwami, w jakie obfituje nasz język ludowy.

— Zobaczysz Sabino, że nie dojedziemy do tych zatraconych Zahajec! — mówiła zdyszana, prawie krzycząc. — Szkapsko ino lezie, a ty żałujesz bata.

— Bat tu nic nie pomoże... a zresztą nie chcę bić Mazurka, bo mi go żal. Dobrze się on wam już wysłużył.

— Więcej zjadł niż wart, bestya!... No, przemawiaj do niego po swojemu, delikatnie!... bo to był twój głupi pomysł zbaczać w te strony, żeby zarzymać się w marnej, żydowsko-chłopskiej dziurze, gdzie ani grosza nie zyszczę, ino wydam resztę, zebraną po drodze. Chciałaś koniecznie dogodzić ślepej babuni, wylegującej się w budzie, dla tego, że jej się ubrdało, że tu znajdzie twoją siostrę. Oho! gdzie twoja siostra!... Może aż kędyś na końcu świata.

— Nie rajcujcie Ciupago na próżno, dojedziemy... dojedziemy. Już widać stąd pałac, a z pałacu do miasteczka niedaleko. Przecie byliśmy tu kiedyś w zimie... ja odległości dobrze pamiętam.

— Cóż mi z tego! Wiem, że tu nie zarobimy ani złamanego szeląga.

— Nie mówcie tak. Samych oficyalistów dworskich jest kilkudziesięciu. Ręczę, że wszyscy, starzy i młodzi pospieszą do naszej budy, żeby się dowiedzieć, co ich czeka w przyszłości.

— I zapłacą zato po piątaku, chyba że jaki ekonomczuk-kawaler, albo pisarz prowentowy szarpnie się na dychę, żeby potem uszczypnąć cię w ładny pysek.

Dzisiejsi ludzie, choćby i chamy, w przepowiednie nie wierzą, chociaż ślepa przepowiada czasem, jakby w księdze przeznaczeń czytała... Gdy słucham, to mi ciarki po grzbiecie chodzą, a przecie ja i dyabła się nie boję!

W biedzie, ciągłej włóczędze i trudach, z małej Sabinki wyrosła śliczna kobieta. Twarz jej śniadą, szczupłą, o rysach regularnych, na której znużenie i częsty głód wycisnęły swoje ślady, rozjaśniały śliczne szafirowe oczy, pełne melancholicznego wyrazu. Bujne, gęste, czarne włosy otaczały dumne czoło podwójnym splotem. Chociaż przyodziana w łachmany, z nogami obutemi w podarte trzewiki, wyglądała jednak jak jaka zaczarowana królewna. Każde jej poruszenie posiadało dziwnie harmonijną rytmikę, pełną nieopisanego wdzięku.

Ciupaga zaś postarzała się bardzo. Pomimo wysokiego wzrostu zgarbiła się, zgięła w pałąk, jakby ciężar wieku grzbiet jej przygniótł i pochylił. A i charakter jej zmienił się do niepoznania. Stała się chciwszą niż dawniej, bardziej samowolną i despotyczną. Znienawidziła Sabinę za młodość i piękność. Ile razy na nią spojrzała, małe jej, siwe, w policzki głęboko zapadłe oczy pałały ogniem gniewu i zazdrości.

— Dojedziemy za pół godziny — rzekło dziewczę, widząc, że koń teraz, na gładkiej drodze, przyśpieszył nieco kroku. — Babcia będzie mogła nareszcie wypocząć!

— Wielka mi to pociecha! — zachichotała Ciupaga szyderczo — jakby mi o twoją babcię chodziło!

— Przecież za jej sprawą macie zarobek.

— A mało to ja na was obie wydaję?! hę! co?... Gdybym miała teraz te pieniądze, które mnie wasze utrzymanie kosztuje i które Mazurek przejadł w ciągu lat ośmiu... a bestya żre owies i siano za czterech..., nie potrzebowałabym włóczyć się po świecie i cierpieć, jak cierpię!

Koń zatrzymał się znowu pod drugim pagórkiem.

— Wio... wio, Mazurek!

— Na nogach już, psia kość, utrzymać się nie może... Jak tylko dobijemy się do Lublina, zaraz go sprzedam.

— Och! nie sprzedawajcie... proszę, bardzo proszę... ja się do niego przywiązałam, ja go tak lubię!

— Lubisz go?... no, to dla tego właśnie go sprzedam.

Na błoniu, stanowiącem plac jarmaczny dziś osady, niegdyś miasteczka, między stodołami rolników-małomieszczan, zatrzymała się buda. Ciupaga pobiegła do wójta i straży ziemskiej w celu wyjednania pozwolenia na pobyt parodniowy. Dziewczyna, choć zmęczona drogą, narzuciła Mazurkowi na szyję worek z obrokiem, poczem, oparta plecami o wóz, zamyśliła się głęboko nad swoją straszną niedolą. Nagle rozwarło się małe okienko w budzie i cichy, drżący głos zawołał na nią:

— Sabinko!

— Jestem babusiu.

— Czyś sama?

— Tak. Ciupaga poszła do miasteczka. Możesz mówić śmiało...

— Strasznie jestem zmęczona drogą. Chciałabym uciec z tobą, wyrwać się z pod przemocy tej złej kobiety, która nam tak okropnie dokucza i tak strasznie udręcza... pójść daleko, w świat... gdzie nas oczy poniosą...

— Ależ babciu, nie uszłabyś nawet i wiorsty... chodzić nie możesz, sił nie masz...

— Prawda, prawda! Szalona jestem i głupia... wiek i znużenie pozbawiły mnie rozumu...

Staruszka, mówiąc to, rozpłakała się rzewnemi łzami.

. . . .

Parę dni upłynęło. Interesa, jak Ciupaga przewidziała, szły źle. Do kasy „czarownicy“ wpływały dość często-gęsto piątaki i dziesiątki, lecz dochód nie pokrywał kosztów pobytu, względnie wcale znacznych, trzeba było bowiem ciągle opłacać się władzom miasteczkowym, policyjnym i administracyjnym.

Pewnego wieczora ślepa ułożyła się już do snu, a Sabinka, wyciągnięta koło wozu na murawie, odpoczywała po całodziennych zajęciach, gdy zbliżył się do niej Jerzy.

— Cóż to, zamknęliście budę? — zapytał.

— Jak pan widzi. Jasnowidząca nasza śpi.

— Można ją obudzić, jeśli kto dobrze zapłaci — rzekła Ciupaga, siedząca na schodkach budy. — Prawdopodobnie pan, jako wielki pan, nie chciałeś się w dzień mieszać z motłochem, wolałeś przyjść w nocy, lecz za nocne wróżby płaci się dużo drożej...

— Ile żądacie? — spytał Wielogrodzki, uśmiechając się ironicznie.

— Dwa czerwone... dwadzieścia rubli.

— Co? dwadzieścia rubli za wysłuchanie bajów, które pleść będzie stara niedołęga, albo ta młoda łachmaniarka?!

— Stara niedołęga, gdy ją uśpię, mówi prawdę, młodą zaś łachmaniarkę ubierz pan w ładne suknie i klejnoty, a zobaczysz, że niejedna panna z arystokracyi pozazdrości jej urody!

Jerzy pochylił się nad Sabiną, żeby lepiej przypatrzeć się dziewczynie, która oburzona jego bezczelnem spojrzeniem, zerwała się na równe nogi i nawzajem zmierzyła go wzrokiem, pełnym pogardy.

— Sabina! bądź grzeczna! — wrzasła baba i wprowadziła Wielogrodzkiego do budy.

Ślepa, zbudzona głośną rozmową, powstała z siennika i narzuciła na siebie chustkę wełnianą.

— Bogaty pan — rzekła do niej Ciupaga — chce się dowiedzieć, co go czeka.

Staruszka siadła na podanem przez Ciupagę krzesełku i pod wytężonem jej spojrzeniem opuściła bezwładnie głowę na piersi. Jędza po chwili szepnęła:

— Śpi.

Było coś istotnie tragicznego w tej scenie, pełnej niezwykłego nastroju. Na wychudłą i bladą twarz niewidomej, pogrążonej w śnie magnetycznym, rzucała mdłe światło lampka naftowa, stojąca na półeczce, przybitej do ściany, cała zaś brudna izdebka drewnianej budy tonęła w ciemności. Jerzy, jakkolwiek odważny i sceptyk, uczuł dreszcz, przebiegający po ciele.

— Czego pan pragnie się dowiedzieć? Proszę pytać śmiało, ona teraz musi panu odpowiadać.

— Kto jestem?

Ślepa milczała.

— Czyś słyszała? — rzekła groźnie Ciupaga, pochylając się nad Żarką.

— Tak — odparła ona.

— No, to odpowiedz!

— Jest paniczem... synem znakomitych rodziców... z wielkiej pochodzi rodziny...

— Gdzie mieszka?

— Niedaleko stąd... w pięknym pałacu...

— Czy długo w nim bawić będzie?

— Niedługo. Za kilka dni pojedzie...

— Dokąd?

— Do Warszawy.

— Czy kogo kocha?

— Nie, nikogo... lecz wkrótce zadurzy się szalenie w dziewczynie z ludu... w kwiaciarce ulicznej... a miłość ta go zgubi... przez nią zniszczone będą wszystkie jego nieuczciwe zamiary...

— No, no! — zawołała zaniepokojona nieco Ciupaga — nie wiesz, co mówisz, matko Joanno.

— Mówię prawdę.

— Pozwólcie, że ją sam pytać będę — rzekł Jerzy drżącym głosem.

— Niech pan pyta.

— Zatem mówicie — powiedział, biorąc staruszkę za rękę — że wszystko, czego pragnę i o co się staram, nie przyjdzie do skutku. A małżeństwo moje?... Przecież ułożone i postanowione, panna oddaje mi swoją rękę, a ślub odbyć się ma za trzy miesiące...

— Panna zgodziła się wprawdzie, ale wbrew własnej woli... przez wdzięczność dla swoich... nie rodziców, nie... dla swoich opiekunów. Ona kocha.. ale nie ciebie...

— Mniejsza o to!... A miliony, które jako spadek mam otrzymać?

— Pan się nie ożeni. To go jednak martwić nie powinno, bo nie kochasz swojej narzeczonej.

— Odpowiadajcie na moje pytania! Czy spadnie na mnie sukcesya... milionowa sukcesya?

— Nie otrzymasz jej... Dlaczego mnie o to pytasz, kiedy sam wiesz jaknajlepiej, że ci się nie należy... że ci nie jest przeznaczona. Wszakże niedawno wykradłeś jakieś papiery i wyczytałeś z nich, że cały majątek komu innemu zapisany...

— Milcz, podła babo! — krzyknął gniewnie Wielogrodzki.

— Dlaczego mnie łajesz? dlaczego przezywasz?... Mówię pod przymusem, mimowoli... chociaż wolałabym nie mówić — szeptała stara, jak automat nieruchoma. — O! chciałabym raz na zawsze ten przeklęty wóz opuścić... i nie być męczoną więcej tak okropnie, jak mnie tu męczycie...

Jerzy już nie słuchał. Rzucił Ciupadze dwie sztuki złota pod nogi i przerażony uciekł z budy. Ślepa zaś, znużona widocznie wysiłkiem, spadła z krzesła na siennik i zasnęła głęboko.

XI.

Janek, wyczerpany z sił nadmierną pracą, a przez złe odżywianie się wpędzony w chorobę piersiową, jak wiemy, ubóstwiał Graziellę, bez wzajemności z jej strony. Jerzy, rozkochany także namiętnie w pięknej dziewczynie z przedmieścia, nie podzielającej również jego miłości, doprowadzony do szału obojętnością kwiaciarki, postanowił ją porwać i posiąść przemocą. Pewnej nocy — gdy Czupiradło i Złota Rączka, pozbawieni przez wódkę przytomności, wpadłszy do głębokiego rowu za wolskiemi rogatkami, zakończyli marny żywot w błotnej kałuży — zakradł się do ich budy w towarzystwie dwóch nożowników, gotowych za sute wynagrodzenie popełnić wszelką zbrodnię Kwiat-Nędzy, jakkolwiek ciężko chory, zwlókł się z barłogu, na którym sypiał, aby stawić im czoło. Wywiązała się bójka, w której młody obrońca Rózi legł raniony nożem. Lecz wrzawa, wywołana zatargiem, sprowadziła policyę, która ujęła pana hrabiego wraz z obu zbójami. Sprawa, z natury rzeczy, pomimo starań i zabiegów Bogajewskiego, rozstrzygnąć się musiała w sądzie kryminalnym, a utytułowany organizator napaści skazany został na kilkoletnie więzienie, księżna bowiem i ksiądz Jan, chociaż zmartwieni mocno plamą, rzuconą przez synowca na drogie im nazwisko, nie starali się ani swojemi wpływami, ani pieniądzmi uchronić go od zasłużonej kary.



Na wychudłą i bladą twarz niewidomej, pogrążonej w śnie magnetycznym, rzucała mdłe światło lampka naftowa.

Eugenia Molska i jej przyjaciółka Franciszka odkryły tymczasem schronienie Sabiny i jej babki w Warszawie, ślepa bowiem wraz z wnuczką uciekły z budy okrutnie im dokuczającej Ciupagi. Stara panna i żona Bogajewskiego otoczyły staruszkę i sierotę najczulszemi staraniami, dostarczając im pracy; a tym sposobem dostatniego utrzymania; następnie zaś, po wielu sensacyjnych przejściach, połączyły się obie siostry w pałacu „dobrej pani“ przy ulicy Smolnej. Tam także Glenmour — w rzeczy samej Żarski, brat rodzony ich matki — dowiedział się o przeszłości i dramatycznych przygodach drogich sobie istot. Teraz, gdy już hańba rodziców, tylko jako odległe wspomnienie ciążyło na Piotrze — zdobywającym przez swą artystyczną działalność coraz większą sławę i powszechne uznanie — udało się Filipowi skłonić księżnę, aby udzieliła pozwolenia na związek małżeński malarza z ukochaną wychowanicą. Ślub ich odbył się w kościele Karmelitów, przy Krakowskiem Przedmieściu, a ręce rozkochanej pary związał stułą na dozgonne wspólne pożycie — ksiądz Jan-Maryan hrabia Wielogrodzki. Z olbrzymiego majątku, jaki stał się własnością Zosi, wyposażyła ona wspaniale Sabinę i Graziellę, które wyszły za mąż za dwóch zacnych i pracowitych, otoczonych ogólnym szacunkiem przemysłowców warszawskich.

Olbrzymie swoje kapitały, przywiezione z Ameryki, poświęcił Glenmour na rehabilitacyę Dra Żarskiego. W trudnem przedsięwzięciu pomagał mu dzielnie Piperstein, już przed rokiem pozbawiony posady agenta policyjnego za puszczenie na wolność przestępcy politycznego, ujętego przez kolegów-łapaczy w czasie jakichś rozruchów. Rzecz szła jednak opornie, pomimo bowiem podejrzeń, domysłów i półdowodów, niepodobna było bez wielkiego ryzyka, oskarżyć prawdziwych winowajców. Marcelina, dowiedziawszy się od Ciupagi, że Janek jest jej synem, przewiozła ciężko rannego do swojej willi i tam, rozpaczająca i srodze stroskana, lecz po raz pierwszy w życiu uniesiona szlachetnem uczuciem, dnie i noce przepędzała przy łożu boleści tak długo poszukiwanego dziecka. Młodzieniec gorączkował, rzadko kiedy odzyskując przytomność, rana bowiem przyspieszyła rozwinięcie się suchot. Pomimo pomocy najznakomitszych stołecznych lekarzy, skonał na rękach matki w strasznych męczarniach. Wtedy wyrzuty sumienia z całą swą nieubłaganą potęgą zbudziły się w łonie zbrodniarki. Pragnąc położyć im koniec, wyznała wszystko przed sędzią śledczym, Piotrem Molskim, który natychmiast kazał ją aresztować. Ujawnienie prawdy i płynące stąd wznowienie procesu zmyło wprawdzie piętno hańby z nazwiska Żarskiego, lecz niestety, wyrok uniewinniający go i wyswobadzający go z dożywotnich robót, doszedł na Sybir już po jego zgonie. Marcelina, wobec sądu nie wydała Kazimierza; przeciwnie, broniła go i obroniła z niezwykłą zręcznością, lecz on sam wymierzył sobie sprawiedliwość, pozbawiając się życia wystrzałem z pistoletu.

Zosia, Sabina, Graziella i Piotr wznieśli na grobie Janka na Powązkach piękny pomnik, który w każdą rocznicę jego śmierci zasypują świeżym, barwnym kwieciem. Na marmurze, przykrywającym zwłoki przybranego brata, wyryć kazali napis: „Cierpiał za własne winy i cierpieniem swojem winy drugich odkupił“.

Koniec.



Zgon zasłużonego kapłana: Pogrzeb księdza Zygmunta Świstelnickiego.

Zgon zasłużonego kapłana.

Kapłaństwo — to najpiękniejszy, najszczytniejszy zawód, jaki ogółem człowiek obrać sobie może. Kapłan, to przewodnik duchowy, to dobry pasterz, który prowadzi owczarnię swoją ku wiecznej szczęśliwości. Bez kapłana życia nie możnaby sobie pomyśleć. On towarzyszy nam przez cały ciąg doczesnej naszej wędrówki, począwszy od chwili chrztu św. — skończywszy na ostatniem Olejem św. pomazaniu.

Kapłan — to pośrednik i orędownik między Bogiem a człowiekiem. I zaiste biedny ten człowiek, który się wyrzekł swego Boga lub kapłana.

O ileż jednak piękniejszy jest ten zawód, jeżeli w godnych osobnikach ma swoich przedstawicieli! Jednym z takich typowych, zacnych kapłanów był zmarły w Brodach niedawno ks. kanonik Zygmunt Świstelnicki.

Hołd pośmiertny oddało Mu całe społeczeństwo, które zmarły tak bardzo ukochał. Na tę miłość ludzką zasłużył sobie w całej pełni cichy sługa Boży. Gorliwy opiekun bursy chrześcijańskiej, Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, Gwiazdy chrześcijańskiej, której był długoletnim prezesem, radny miasta, członek Rady szkolnej, położył wszędzie tyle zasług, że wszędzie podziwiano jego pracowitość, jego zapał — a przedewszystkiem niewyczerpaną dobroć serca.

Ks. kanonik Świstelnicki ujrzał światło dzienne w Podpieczarkach koło Stanisławowa. Po ukończeniu wydziału filozoficznego zapisał się na teologię, a w r. 1880 został wyświęcony. Święty swój urząd sprawował po kolei w Haliczu, zakładzie drohowyzkim, następnie we Lwowie przy kapitule. Stąd powołany został na posadę katechety przy gimnazyum brodzkiem. Śmiertelna choroba przerwała zbożną pracę zacnemu kapłanowi. Żal towarzyszy świątobliwemu człowiekowi do grobu — a wspólne modlitwy łączą się w jednej prośbie: Wieczny odpoczynek racz dać słudze Twojemu — Panie!...

W niniejszym numerze podajemy portret zgasłego kapłana, oraz zdjęcie fotograficzne z pogrzebu, któremu tłumy ludu towarzyszyły.

Rosya i „polskie niebezpieczeństwo“.

Powszechna rewolucya, która się objawiła nie tylko wśród robotników w centrach fabrycznych Królestwa Polskiego, ale nawet wśród ludu po wsiach, wzniecila u rządu rosyjskiego niebywały popłoch. Władze rosyjskie, jak to już nieraz mieliśmy sposobność udowodnić, straciły zupełnie głowę i dzisiaj, kiedy zarzewie rewolucyi poczyna tracić na sile blasku i dogasać, chwytają się nieraz środków, mających ich zabezpieczyć przed urojonem niebezpieczeństwem, środków, które w obserwujących dzisiejsze wrzenie w całej Rosyi budzą uśmiech litości i lekceważenia.

W starożytności, a nawet w czasach nowszych, dopóki nie znano telegrafu używano najrozmaitszych sposobów, aby ułatwić i przyspieszyć wzajemne porozumiewanie się. Ustawiano na przykład na górach i rozmaitych drogach w pewnych odstępach wysokie żerdzie, na nich przybijano żerdzie poziome i to służyło mniejwięcej za telegraf dzisiejszy. Wielkość kąta, jaki te żerdzie ze sobą tworzyły, miała swoje specyalne znaczenie, które podawano sobie coraz dalej, aż do skutku. W innych wypadkach palono na wzgórzach smolne beczki; tym sposobem oznajmiano przedewszystkiem zbliżanie się nieprzyjaciela.

Rosyjski rząd, widocznie pod wpływem ustawicznej obawy przed niebezpieczeństwem, drżąc z trwogi, że lada dzień polscy powstańcy wpadną do Królestwa Polskiego i przy pomocy strejkujących ro-



Zgon zasłużonego kapłana: Ks. Zygmunt Świstelnicki zmarły onegdaj w Brodach.

botników i innych, niezadowolonych z obecnego systemu rządów, elementów, oderwą ziemie polskie od Rosyi, chwycił się ostatecznych środków, ażeby temu zapobiedz.

Wzmocniono więc przedewszystkiem straże w miejscowościach pogranicznych w czwórnasób, pomieszczano załogi tam, gdzie ich dotychczas nie było wcale, a prócz tego na dłuższej przestrzeni pogranicznej poustawiano co kilkadziesiąt metrów wysokie żerdzie, obwinięte namoczoną w smole słomą, tworzącą na szczycie żerdzi rodzaj pochodni. Przy każdym takim słupie stoją na straży sołdaci, którzy mają obowiązek, na wypadek, gdyby ujrzeli zbliżające się ku granicy zastępy powstańców polskich, zapalić pochodnie i w ten sposób alarmować załogi pobliskich posterunków.

Czynownicy carscy, którzy postępowaniem swojem spowodowali już tylekrotnie rozlew krwi i stali się przyczyną śmierci tylu setek niewinnie pomordowanych, nie widzą, że czynowniczy porządek w Rosyi się wali, że rysują się fundamenty dotychczasowego systemu ale ślepi nie chcą widzieć, że niebezpieczeństwo leży w nich samych, że ich samych toczy robak zgnilizny więc wyszukują przyczyn swej obawy poza sobą. Zaślepieni, krótkowidze, nie umiejący ocenić doniosłości chwili, starają się wmówić w siebie, że Polacy przygotowują powstanie. Nie widzą, że konieczność dziejowa usuwa im ziemię z pod stóp, że muszą zginąć oni i ich system, bo życie i ludzkość idzie ciągle naprzód, a zapory, jakie po drodze ku



Rosya i „polskie niebezpieczeństwo“: Znaki ostrzegawcze na granicy rosyjskiej koło Brodów. (Rys. z natury p. Grzybowski).



70-letni morderca w walce z oblęgającem go wojskiem: Dom Roya, otoczony przez oblęgających go żołnierzy.



70-letni morderca w walce z oblęgającem go wojskiem: Żołnierze, czatujący na ukazanie się Roya, ukryci za murem, otaczającym jego dom.

wyżynom napotyka, łamie i depce. To jest Nemezis dziejowa.

Na zamieszczonej w dzisiejszym numerze ilustracyi, wykonanej przez jednego z przyjaciół naszego pisma, przebywającego niedaleko granicy rosyjskiej koło Brodów, widać posterunek rosyjskiej straży pogranicznej w Siestratynie, niedaleko Brodów. Widać tam też takie słupy-pochodnie, rodzaj nowoczesnej semafory, tj. telegrafu optycznego, służące do wspomnianych wyżej celów. Obok słupa stoi sołdat moskiewski, mający czuwać nad tem, czy nie zbliża się burza „polskiego niebezpieczeństwa“.

Poświęcenie gmachu Banku krajowego we Lwowie.

Przed kilku dniami odbyło się we Lwowie uroczyste poświęcenie gmachu Banku krajowego. Bank ten wykończony został przed kilkunastu laty. Dlaczegóż więc poświęcenie odbyło się dopiero teraz, po wielu latach? Dlaczego dyrekcya Banku nie pomyślała o tem wcześniej i dlaczego teraz właśnie, jakby pod jakim przymusem, zdecydowała się na poświęcenie gmachu?

Rzecz ta ma swoją historyę.

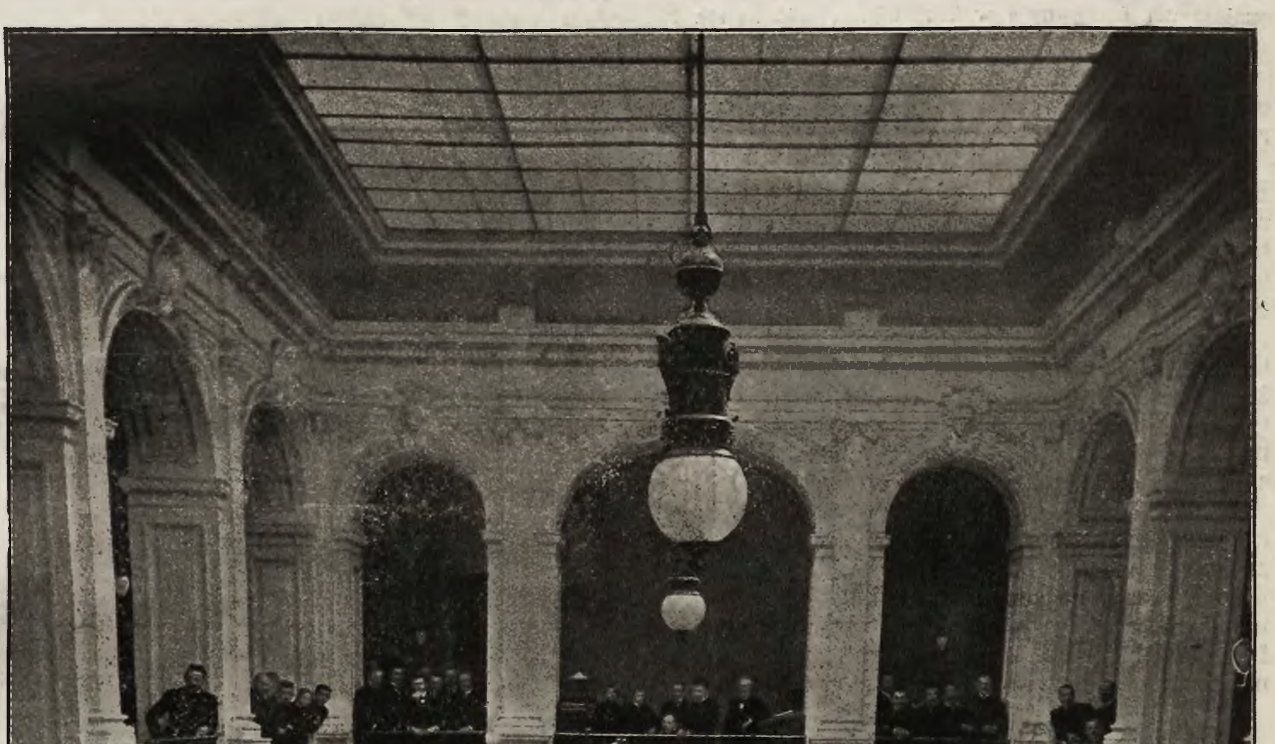
W gmachu Banku trafiały się od dłuższego czasu sporadycznie nieszczęśliwe wypadki, najczęściej pośród służby bankowej. Służba, ludzie prości, zabobonni, nieszczęścia te przypisywali jedynie tej okoliczności, że — gmach Banku nie był poświęcony. I tak niedawno temu spadł w banku z balustrady służący Jan Zieliński i potłukł się ciężko. Inny służący, Emil Przycuch, pośliznął się w skarbcu i również doznał bardzo ciężkich obrażeń. Frotera Feliksa Superlaka „skusiło“ coś do kradzieży, a przed kilku dniami postrzelił się służący Dziuban. Te wypadki, spowodowane z pewnością nieostrożnością służących, albo też złą wolą, nie dawały spokoju pozostałej służbie. Myślano o nich ciągle, roztrząsano je w drobiazgowy sposób, dociekano ich przyczyn i nareszcie służba przyszła do przekonania, że „zły“ obrał sobie bank za siedlisko i dokucza ludziom w straszny sposób. A wszystko dlatego, że bank nie był poświęcony, że więc „złe duchy“ miały doń wolny przystęp. Ostatni wypadek zwłaszcza, mianowicie postrzelenie się Dziubana, dokonane najprawdopodobniej w zamiarze samobójczym, rozjątrzyło umysły służby do najwyższego stopnia.

Poczęto sarkać na dyrekcyę banku, że nie dopełniła swoich obowiązków i nie kazała poświęcić gmachu Wrzenie doszło ostatecznie do tego, że cała służba bankowa zagroziła strejkiem, jeśli gmach nie zostanie w najbliższym czasie poświęcony. Dyrekcya banku widziała się ostatecznie wobec groźnej postawy służby zmuszoną ustąpić i przed paru dniami urządzono uroczyste poświęcenie całego gmachu Aktu poświęcenia dokonał ks. kanonik Ollender z kościoła Maryi Magdaleny. Dyrekcya z tej okazyi przeznaczyła 100 koron na rodziny głodnych i rannych rodaków z zaboru rosyjskiego. W ten sposób stało się zadość życzeniom zabobonnej służby. Czy teraz nieszczęśliwe wypadki zdarzać się już w banku nie będą, niewiadomo. A raczej zobaczymy to w najbliższym czasie.

Podajemy w dzisiejszym numerze fotografię hali gmachu banku, tej hali, w której „zły“ najchętniej dokuczał służbie. Hala to wspaniała, zupełnie po europejsku urządzona, obszerna i odpowiadająca najlardziej wygórowanym nawet wymogom.

70-letni morderca w walce z oblegającem go wojskiem.

Do czego doprowadzić może uczucie zemsty, tej najstraszniejszej i najbrzydszej namiętności ludzkiej, mieliśmy już niejednokrotnie wymowne dowody. Większa część morderstw, skrytobójczych zabójstw i innych zbrodni, spowodowana została jedynie chęcią zemsty. Religia katolicka, nakazująca przebaczać urazy i za złe dobrem płacić, religia, oparta na świętej, wspólnej miłości wszystkiego i wszystkich, nawet nieprzyjaciół, złagodziła trochę złe instynkty, jakie w człowieku zwykle górę biorą nad dobremi, ale nie zdołała ich wykorzenić z ludzkiego serca. Bo też są natury z gruntu zbrodnicze, wypaczone, natury, które nie dadzą się ująć w karby i dyszą zawsze namiętnościami,



Fot. M. Münz. Lwów.

Poświęcenie gmachu Banku krajowego we Lwowie: Ogólny widok wielkiej hali bankowej.



10-lecie istnienia stow. rob. kat. „Praca“ w Tarnowie: Ks. dr. Stanisław Dutkiewicz, kanonik katedralny i rektor seminaryum duchownego w Tarnowie. (Treść na str. 12).

zawsze do zbrodni pochopne. W ostatnich dniach olbrzymią sensacyę wywołało w całej Francyi zdarzenie następujące:

We wsi Usseau, pod Chatellerault, żył niejaki Franciszek Roy, starzec siedmdziesięcioletni. Roy, zamożny niegdyś włościanin, straciwszy cały majątek na rozmaitych spekulacyach, zmuszony był przed dwoma laty przyjąć stanowisko gajowego. Na tem stanowisku okazał się bezwzględnym, nieprzejednanym wrogiem kłusowników i złodziei drzewa. Tymczasem przypadkowo wyszło na jaw, że sam zajmował się bardzo gorliwie kłusownictwem. Raz nawet pochwycono go na gorącym uczynku, mianowicie, kiedy w czasie zakazanym strzelał do zajęcy. Sąsiad jego, niejaki Grandpied, doniósł o tem władzom i Roy musiał zapłacić 50 franków kary. W staruszku zawrzała krew z oburzenia. Postanowił się zemścić. Przeszło rok jednak czekał ze zemstą, chciał bowiem przed jej wywarciem skończyć 70 lat, gdyż wedle praw francuskich, zbrodniarzy, którzy ukończyli 70 lat, nie można skazywać na śmierć. Przed miesiącem właśnie ukończył 70 rok życia i teraz postanowił wywrzeć zemstę na znienawidzonym denuncyancie. Przez całe dwa tygodnie czyhał na sposobność, nareszcie przed dwoma tygodniami spotkał Grandpieda na drodze. Zmierzył się tedy ze strzelby, wystrzelił i celnym strzałem powalił Grandpieda, poczem, pozostawiwszy trupa na drodze, udał się do domu i zabarykadował się w nim, jak mógł najlepiej.

Wieśniacy, znalazłszy Grandpieda bez życia na drodze, przekonani, że Roy jest sprawcą zbrodni, donieśli o tem urzędowi gminnemu, który wydelegował żandarma i pisarza gminnego, aby starca aresztowali. Zaledwie jednak delegaci podeszli do domu Roya, padły z poza ściany dwa strzały i obaj, ranni śrutem, musieli zmykać czemprędzej, by nie paść trupem od kuli rozjuszonego zemstą starca.

Zarządzono tedy środki ostrzejsze. Zawiadomiono o wypadku prokuratoryę i sprowadzono kompanię piechoty, oraz brygadę żandarmów i rozpoczęto formalne oblężenie. Jednemu z żołnierzy zdawało się, że ujrzał starca w oknie; wysunął się więc z za krzaka i dał ognia, ale w tej chwili padł sam z kolanem, przeszytem kulą. Okazało się, że Roy postawił w oknie manekina, sam zaś strzelał przez wywiercone w ścianach strzelnice. To samo powtórzyło się kilka razy w ciągu dni następnych. Kilkunastu żołnierzy odniosło rany, a fortecy zdobyć nie było można. Postanowiono Roya głodem zamorzyć, okazało się jednak, że przebiegły starzec-morderca od dłuższego czasu zaopatrywał swój dom w zapasy i żywności ma podostatkiem. Kapitan żandarmeryi chciał, ażeby dom zdobyć szturmem, sprzeciwiły się jednak temu władze, nie chcąc niepotrzebnie narażać ludzi. Ostatecznie po porozumieniu się władzy gminnej z wojskową, zdecydowano się wysadzić dom w powietrze. Sprowadzono oddział artyleryi, urządzono podkop według wszelkich prawideł inżynieryi wojskowej i za pomocą melinitu wysadzono fortecę Roya w powietrze. Dwie ściany domu wybuch melinitu roztrzaskał, piechota rzuciła się do szturmu i Roya, wycieńczonego bezsennością, ujęto.

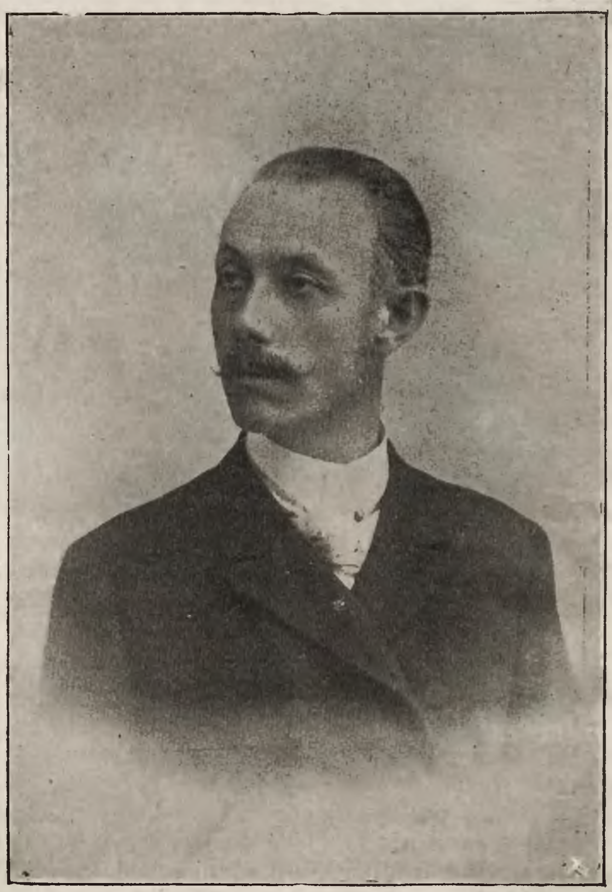
Na zamieszczonych w dzisiejszym numerze ilustracyach podajemy fotografię domu Roya, strzeżonego przez oddział piechoty. Druga rycina przedstawia żołnierzy, czyhających na ukazanie się Roya.

Lynchowanie zbrodniarzy w Rosyi.

Zemsta tłumów bywa czasami tak wyrafinowaną, że dzisiaj jeszcze przewyższa wielokrotnie okrucieństwa wieków średnich. I rzecz zupełnie zrozumiała. Tłumy nie spieszą się z wykonaniem



Lynchowanie zbrodniarzy w Rosyi: Poszkodowani wymierzają sobie dorażną sprawiedliwość na złodziejach.



10-lecie istnienia stow. rob. kat. „Praca“ w Tarnowie: P. Stapf, architekt. (Treść na str. 12).

zemsty. Zemsta gotuje się w nich długo, bo tłumy są cierpliwe, dopiero, gdy cierpliwość przebierze miarkę, zemsta wyładowuje się wtedy w sposób straszny, odpowiadający wściekłej żądzy mszczących się. Im lud zaś stoi na niższym poziomie oświaty, im jest ciemniejszy i dzikszy, tem zemsta bywa okrutniejszą.

O straszliwem lynchowaniu zbrodniarzy w Rosyi doniosły w tych dniach pisma rosyjskie. Lynchowanie to odbyło się w małem rosyjskiem miasteczku Puliny.

Od dłuższego czasu mieszkańcy Pulin narażeni byli tak w dzień jak i w nocy na zuchwałe rabunki, na utratę mienia, a częstokroć i życia, w pobliskiej bowiem osadzie Dołżik i w siole Iwanowicze gnieździły się bandy zbójeckie, będące postrachem całej okolicy. Długo znosili mieszkańcy cierpliwie wybryki złodziei, ale ostatecznie miarka się przebrała. Postanowiono się zemścić na złodziejach. Ogromny tłum Niemców kolonistów, chłopów czynszowników i zagonowej szlachty urządził obławę na złodziei. Złowiono blisko 80 ludzi, nad ktorymi tłum począł się pastwić w okropny sposób. Skutkiem odniesionych ran 11 ofiar umarło, w tej liczbie przypadkowo zabito jednego chłopa, należącego do szajki. Większość ofiar stanowili drobni złodzieje; najgłówniejsi przywódcy oraz koniokradzi, będący istnym biczem dla okolicznej ludności, zdołali się ukryć.

Wyprawa zorganizowaną była prawidłowo. W rękach tłumu były listy złodziei, tłum wszędzie przesłuchiwał świadków i wymagał dowodów, a posiadał do rozporządzenia naganiaczy, tłumaczy itd. Sposób, w jaki się sąd odbywał, sprawiał niezwykle wstrząsające wrażenie. Na przedzie tłumu ustawiono szereg ludzi, uzbrojonych w strzelby, drągi i kłonice. Rozprawa była okrutną aż do zwierzęcości. Za jednym zamachem nikogo nie zabijano, lecz przedtem podsądnych badano, poddając ich niemożliwym do opisania torturom. Nieszczęsne ofiary kopano i deptano nogami, rozmiażdżano im piersi żelaznymi drągami, wykręcano i łamano ręce i nogi i t. p. Dopiero kiedy podsądny przyznał się do winy, wówczas zabijano go. Niektóre tracenia były potwornie straszne. Tłum zmuszał naprzykład dwóch skazańców do wzajemnego bicia się i zadawania sobie wzajemnie śmiertelnych ciosów dopóki jeden lub drugi nie zginął pod silnemi razami.

Taką scenę, przerażającą swoją grozą idzikiem rozpasaniem, przedstawia załączona w dzisiejszym numerze rycina. Daje ona słabe zaledwie wyobrażenie o okrucieństwie tych ludzi, których żądza pomsty zrobiła zbrodniarzami.

Na Szkołę Ludową.

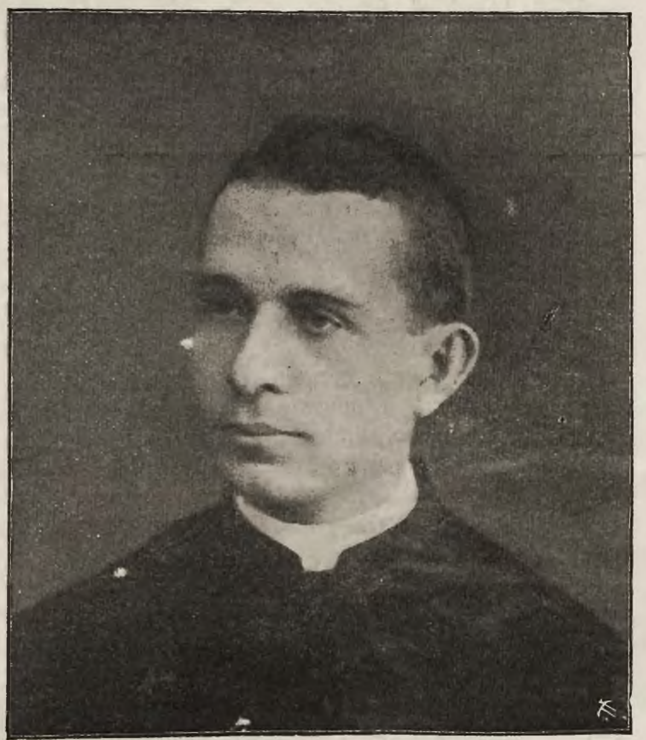
Zbytecznem jest rozpisywać się dziś nad dobroczynną działalnością towarzystwa Szkoły ludowej i nad jej celami. Wystarczy tylko nadmienić,

że koła tej instytucyi potworzyły się nawet w najdrobniejszych mieścinach naszego kraju i więcej lub mniej energicznie przyczyniają się do budzenia i szerzenia oświaty narodowej.

W Brodach od chwili, kiedy przewodnictwo tego towarzystwa spoczęło w rękach pani Benoit zaczęło ono nowe życie. Pozawiązywały się komisye, które wzięły na się zadanie urządzania odczytów tak w mieście jak i w okolicy, w której żyje wielu Polaków, a jeden z członków objawił gotowość dostarczania podwodów dla osób mających wygłaszać odczyty, co stanowiło ważną trudność za dawniejszego zarządu. Nowy zarząd postanowił też przyjść w pomoc ubogiej dziatwie miejscowej i okolicznej tudzież wzbogacić bibliotekę. Na ten szlachetny cel urządził tedy onegdaj „wieczór rozmaitości". na którym prócz deklamacyi prof. Meyera, chórów mięszanych, kwartetu smyczkowego i sola skrzypcowego, tudzież nieodłącznego monologu, podziwiały Brody niezwykłą nowość: tańce japońskie dziewczątek, uczęszczających do szkoły tańców lwowskiego mistrza choreografii Nikodema Leflera. Ten punkt programu sprawił to, że mimo deszczu ulewnego kasa towarzystwa S. L. zebrała liczne srebrniki na szlachetne cele. Rycina nasza przedstawia dziatwę w oryginalnych strojach i fryzurach japońskich, wykonywującą tańce narodowe, których umyślnie na szlachetny ten cel, wyuczył ich z nakładem ogromnym pracy p. Lefler.

* * *

Japonia i Japończycy weszli w ostatnich czasach w modę. Spowodowała fakt ten wojna, jaką Japonia wydała Rosyi. Już po wybuchu wojny zaczęto się u nas interesować Japonią więcej niż każdem innem państwem, bo też dla nas szczególnie, dla Polaków, wojna z Rosyą ma większe niż nawet może dla Japonii znaczenie. Jednakże Japonię znano u nas tylko z angielskich operetek, wyobrażano ją sobie jako kraj oryginalnych ludzi, prześlicznych gejsz i niezbyt wysokiej moralności. Dopiero ściśle naukowe prace o Japonii, pisane bądź przez naszych podróżników, bądź też tłumaczone z innych języków, a bardziej jeszcze przebieg wojny otworzyły nam oczy, że Japonia to kraj bohaterów, od których my szczególnie dużo się możemy nauczyć. Przekonaliśmy się, że takiej miłości ojczyzny, takiej pogardy życia nie znajdziemy nigdzie indziej, u żadnego narodu. Japończycy wyrośli w nowych czasach na olbrzymów, zdolnych jedynie do obalenia rosyjskiego kolosu. I zaczęliśmy się wtedy zajmować Japonią na seryo.



10-lecie istnienia stow. rob. kat. „Praca" w Tarnowie: Ks. dr. Dutkiewicz, wiceprezes stow. „Praca".

Nic też dziwnego, że każda rzecz u nas, w której jest choć trochę Japońszczyzny liczyć może na powodzenie. Festyny japońskie, tańce japońskie, wieczory japońskie, jakie poczęto coraz częściej urządzać, przynosiły zawsze ładny dochód. Dobrze też zrobiło Tow. „Szkoły lud." w Brodach, że na wieczorku swoim jeden punkt poświęciło Japonii. To wystarczało, aby wieczorkowi zapewnić powodzenie.

Jubileusz dyplomaty.

Niema może urzędu, któryby wymagał tyle zdolności, sprytu, taktu i wszechstronnego wykształcenia, jak urząd dyplomaty. Trzeba bowiem zważyć, że przy zielonych stolikach dyplomatów rozgrywają się nieraz losy całych narodów, że jeden fałszywy krok dyplomaty wystarcza, ażeby państwo, którego jest przedstawicielem, ciężko nieraz za to odpokutowało. To też ster polityki zagranicznej powierzają monarchowie ludziom, których zdolności zostały już wypróbowane, ludziom, na których można najbardziej liczyć. — W Austryi ministrem spraw zagranicznych i dworu cesarskiego jest hr. Agenor Gołuchowski. W ubiegłym tygodniu obchodził on uroczyście jubileusz dziesięcioletniej pracy na tem stanowisku.

Hr. Gołuchowski objął ster polityki zagranicznej Austro-Węgier po hr. Gustawie Kalnokym w maju 1892 roku. Dziesięć lat nieprzerwanych rządów hr. Gołuchowskiego tłómaczy dobitnie, że wybór monarchy, przyjęty z początku z ogromnem zdziwieniem, zwłaszcza wśród Niemców, był bardzo trafny. Austro-Węgry znajdują się od roku 1866 i 1871 w bardzo trudnem położeniu międzynarodowem, skutkiem skojarzenia Niemców i Włochów w państwa jednolite pod względem narodowym. Dzisiaj monarchia habsburska może tylko na Bałkanie prowadzić politykę czynną, poza tem musi dbać o zachowanie jak najlepszych stosunków z trzema potężnymi sąsiadami i nie dopuścić, by pomiędzy tą trójcą przyszło kiedykolwiek do koalicyi, zwróconej przeciw Austro-Węgrom.

Wszystko to wymaga niezmiernej cierpliwości: talentu prowadzenia taktyki kompromisowej, wybornego znawstwa historyi i teraźniejszego rozkładu sił. Słowem, kierownik polityki zagranicznej Austro-Węgier musi być osobistością zrównoważoną nie lubiącą hazardu, musi umieć wędrować pośród trzęsawisk i uważać, by się nie zapadł. I właśnie do takiego zadania nadaje się hr. Gołuchowski, wyposażony temperamentem równym, znający wybornie gabinety zachodnio-europejskie. Sam fakt, że hr. Gołuchowski przez dziesięć lat steruje polityką zagraniczną, daje należyte wyobrażenie o jego talencie i zasługach na tem stanowisku. To też w dzień jubileuszu, 16 maja, spotkały go ze wszystkich stron, tak cesarza, jak i gabinetów zagranicznych, jak również ze sfer dyplomatycznych wyrazy najwyższego uznania.

Hr. Gołuchowski liczy dzisiaj 56 lat i cieszy się najlepszem zdrowiem.

Jest też nadzieja, że długie jeszcze lata dzierżyć będzie ster zagranicznej polityki Austro-Węgier. Wszystkie pisma podnoszą zgodnie jego ogromne zasługi, porobione w sprawie bałkańskiej, w której Gołuchowski odegrał bardzo ważną rolę.

W następnym numerze podamy fotografię zasłużonego jubilata, której dzisiaj z powodu nieszczęśliwego wypadku podać nie mogliśmy. W ostatniej bowiem chwili, przed daniem numeru na maszynę, klisza się zepsuła tak, że nie możemy jej w tym numerze umieścić.



Na „Szkołę Ludową": Grupa dzieci w strojach japońskich, po odtańczeniu japońskiego tańca na wieczorku Towarzystwa „Szkoły Ludowej" w Brodach.

Śladami zbrodni.

Senzacyjna powieść osnuta na tle pamiętników tajnego detektywa.

Z rosyjskiego przełożył
A. S.

12 (Dokończenie)

Staruszka parę razy wstawała już z fotelu i podchodziła do klęczącej Wiery, która zdawała się omdlewać z rozpaczy.

Ale słowa pociechy, które szeptała do ucha biednemu dziewczęciu, nic nie skutkowały, czasami tylko łzy spływały po wybladłych policzkach Wiery.

Na polu poczęło już szarzeć. Zbliżała się zwolna ostatnia godzina życia Wasyla Lubasza.

Nagle Wiera podniosła się z klęczek i wybuchnęła rozpaczliwym, głośnym płaczem.

— Wiera! dziecko ty moje! uspokój się, uspokój! — wyszeptała pani Bohdan, wyciągając ręce ku dziewczęciu.

Z piersi Wiery wyrwał się krzyk strasznej boleści.

— Teraz... teraz ojca mojego prowadzą kaci... tam... pod szubienicę... na miejsce stracenia!...

W tej chwili dało się słyszeć c che skrzypnięcia otwieranej bramy i szmer kroków rozległ się w korytarzu.

Pani Bohdan nie ruszyła się z fotelu, bo wiedziała dobrze, że to nie mógł wejść nikt inny do domku, jak tylko Włodzimierz, który ich opuścił przed dwoma godzinami.

Włodzimierz nie wyrzekł ani słowa, gdy wychodził z domu i gdy z pobladłą twarzą zaglądnął do pokoju, w którym Wiera modliła się przed cudownym obrazem. Lecz tak jego matka, jak i dziewczę, domyślały się dobrze, gdzie się wybiera o tej porze.

Otworzyły się zwolna drzwi od jadalni i młody detektyw stanął w progu.

Twarz jego przybrała wyraz powagi. Stanął w środku pokoju i powoli zdjął czapkę z głowy.

— Wiero!... — szepnął ledwie dosłyszalnym głosem.

Dziewczę obróciło się zwolna i źrenice jej wpiły się w wybladłą twarz Włodzimierza.

Usta jej poruszyły się, jakgdyby chciała mu zadać jakieś pytanie, ale głos zamarł jej w piersi.

— Wasyl Lubasz już skonał! — powiedział cicho Włodzimierz — w tej chwili właśnie znaleziono go w celi bez życia, kiedy miano go już odprowadzić na miejsce stracenia!...

Wiera postąpiła krok naprzód i odetchnęła głęboko tak, jakgdyby ta wieść przyniosła jej ulgę w cierpieniach.

Lecz w tej chwili twarz jej nabrała wyrazu takiego cierpienia, że Włodzimierz omal co sam nie wybuchnął płaczem.

— Ach! — szepnęło dziewczę — wiem! ty chcesz najstraszniejszą scenę ukryć przedemną!

Młody detektyw spojrzał na nią z wyrzutem.

— Ja mówię szczerą prawdę, Wiero! — rzekł z powagą — Wasyl Lubasz wolał śmierć z własnej ręki, niż stracenie przez kata i zginął jako samobójca!...

Przeraźliwy krzyk zabrzmiał w pokoiku i Wiera bezprzytomna padła w objęcia Włodzimierza.

. . . .

Istotnie rzecz miała się tak, jak młody detektyw powiedział córce skazańca.

Wasyl Lubasz, złożywszy przed urzędnikami i Włodzimierzem swoje zeznania, nosił się tylko z jedną myślą. Postanowił sam sobie życie odebrać, a nie ginąć z ręki kata.

I mimo całej czujności dozorców, udało mu się na godzinę przed straceniem wykonać ten plan rozpaczliwy.

Gdy straż weszła do celi skazańca, aby go wyprowadzić na miejsce stracenia, znalazła go na ziemi z łańcuchem od kajdan okręconym naokoło szyi. Wasyl Lubasz był już trupem!...

W ośm dni po tej cichej tragedyi, jaka rozegrała się w murach więzienia, Konstancya Jaroszynowa zdążała sankami, zaprzężonemi w rączą trójkę rysaków, do małego domku nad Newą, do Włodzimierza.

Było to już po wspaniałym pogrzebie jej męża Borysa Jaroszyna, którego sprowadziła z pod Granowska aż do stolicy.

Raz tylko od tego czasu spotkała młodego detektywa, który przyjęte na się zadanie tak znakomicie wykonał i przytem zaś na zawsze życie sobie zawiązał. I wtedy Konstancya Jaroszynowa podała mu rękę i rzekła krótko:

— Dziękuję panu z całego serca, panie Włodzimierzu! Wkrótce posłyszysz pan o mnie!...

Dziś przybyła do jego domu, aby dotrzymać danego słowa.

Dwoje ich tylko było w jadalni, jak wówczas, gdy Włodzimierz po raz ostatni miał wyruszyć na poszukiwania za jej mężem i jego mordercami.

— Wracam właśnie z biura policmajstra! — mówiła pani Konstancya. — Jego wysokość powiedział mi, że pan podałeś się do dymisyi i masz zamiar porzucić swój zawód!... Czy pan dobrze namyśliłeś się nad tem, co robisz?!...

— Tak pani! — odpowiedział zupełnie spokojnie Włodzimierz.

— Policmajster ogromnie pana teraz polubiał! Przy jego protekcyi mógłbyś łatwo zdobyć sobie w krótkim czasie wybitne stanowisko! Wprawdzie wówczas byłoby niemożliwem, żebyś pan ożenił się z Wie...

Urwała w połowie słowa, bo Włodzimierz spojrzał na nią błagalnie i położył palec na ustach.

— Życie moje należy do tej dziewczyny! — szepnął Włodzimierz z akcentem silnego postanowienia w głosie — dlatego też zażądałem dymisyi! I cóż mi po honorach, co mi po zaszczytach? Coby mi przyszło z tego wszystkiego, czegobym nie mógł z nią podzielić!...

— I cóż pan teraz poczniesz, panie Włodzimierzu? Otrzymałeś pan już zapewne owe dziesięć tysięcy rubli, które wyznaczyłam jako nagrodę za odkrycie mordercy mego męża, ale ta suma jest chyba bardzo małem odszkodowaniem za utraconą karyerę!...

— Przedewszystkiem opuszczę Petersburg, pani! — odparł spokojnie.

— Czy pan doprawdy tak chętnie opuszczasz nasz piękny Petersburg? — zapytała wdowa, patrząc badawczo Włodzimierzowi w oczy.

— Nie! — rzekł młody człowiek otwarcie — żal mi porzucić to miasto, w którem się urodziłem, w którem się wychowałem, do którego wiąże mnie tyle wspomnień od samej kolebki. Ale mam nadzieję, że przy boku mojej drogiej Wiery zapomnę o wszystkiem i nie zatęsknię nigdy za przeszłością, bo wierz mi pani, że ją moją narzeczoną kocham nad życie i wiem, że ona mi płaci równie gorącą, równie serdeczną miłością!...



Włodzimierz długo jeszcze stał w drzwiach domku i wsłuchiwał się w coraz bardziej słabnący dźwięk dzwonów.

Konstancya Jaroszynowa długi czas patrzała na młodego człowieka w milczeniu.

— Ja jestem wdową! — rzekła w końcu krótko — jestem wdową i kobietą, która nie zna się na interesach, nie umie sobie dać z niemi rady i którą to zresztą wcale nic a nic nie zajmuje. Brakuje mi człowieka, na którym mogłabym polegać zupełnie bezpiecznie. Moi ludzie już teraz zaczynają mnie oszukiwać i okradać, gdzie tylko mogą. Czy chcesz pan przyjąć w moich magazynach miejsce naczelnego dyrektora?!...

Smutne, pełne troski oblicze Włodzimierza rozjaśniło się; oczy zabłysły mu wesoło.

— Pani! — rzekł cichym głosem, w którym dźwięczała nuta wzruszenia — jeśli pani istotnie stawiasz mi taką propozycyę, jeśli naprawdę chcesz mnie zaszczycić takiem ogromnem zaufaniem, to z całą chęcią zostanę w Petersburgu i postaram się dowieść ci, czem jest moja wdzięczność!...

— A więc... ubiliśmy wreszcie interes! — zaśmiała się wdowa — przynajmniej ja mogę się pochwalić, że nie tylko dziś nie straciłam, ale owszem, zyskałam wiele, bo uczciwego człowieka! Dziś jeszcze przyszlę panu kontrakt do podpisania i mam nadzieję, że z warunków, jakie dam panu, będziesz w zupełności zadowolony!...

— A... Wiera? — zapytał nagle Włodzimierz — a Wiera?

— A Wiera? — powtórzył raz jeszcze — czy widok jej nie będzie drażnił pani, czy nie będzie ci wciąż przypominał męża i jego śmierć tragiczną w gospodzie Wasyla Lubasza?!...

Konstancya Jaroszynowa uśmiechnęła się bardzo przyjaźnie do młodego człowieka.

— Wiem przecież dobrze, że pańska narzeczona nawet nic nie wiedziała o zbrodni swego ojca, więc żalu do niej mieć nie mogę. Przeciwnie, gdy tylko dostrzegłam jej słodką twarzyczkę, pokochałam ją jak młodszą siostrę!...

To mówiąc, wdowa uścisnęła serdecznie prawicę Włodzimierza Bohdana i pozwoliła mu odprowadzić się do bramy.

Siadła do swych sanek, a Włodzimierz długo jeszcze stał w drzwiach domku i wsłuchiwał się w coraz bardziej słabnący dźwięk dzwonów.

Jakaś rączka delikatnie wsparła się na jego ramieniu.

To Wiera stała tuż za nim.

— Czego chciała od ciebie ta dama w żałobie, najdroższy? — spytała go szeptem — jaką przywiozła ci wiadomość?

On obrócił się i przycisnął czule dziewczę do serca.

— Zostajemy w Petersburgu, Wiero! — rzekł wesoło. — Chmury rozpraszają się powoli i widzę już jasne, spokojne niebo! Chodź luba, musimy pójść podzielić się z matką tą wesołą wieścią!...

I wziąwszy dziewczę za rączkę, udał się do pokoju, gdzie jego matka krzątała się przy jakiejś robocie.

— Czy to nie była Konstancya Jaroszynowa? — zapytała pani Bohdan, widząc wchodzącego syna.

— Tak, mateńko! — odrzekł z uśmiechem radości Włodzimierz. — To była Konstancya Jaroszynowa, która dziś szczęście wniosła w nasz mały domek. Teraz mogę bez obawy spoglądać w przyszłość i ze spokojem czekać dymisyi, o którą prosiłem policmajstra! Teraz jestem wolnym człowiekiem. Przekreślę w mej pamięci ten pierwszy rozdział mojej przeszłości i nowe rozpocznę życie!...

KONIEC.

O dwa miliony.

Amerykańska powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył J. R.

I.

W wielkiej sali, znanej dobrze wszystkim zbrodniarzom całego świata restauracyi „pod blaszanką“ w Nowym Jorku panował jeszcze ruch i życie. Była godzina dopiero dziesiąta, a dżentelmeni, uczęszczający „pod blaszankę“, nie zwykli byli przed północą rozpoczynać pracy. W głębi sali, zaciemnionej prawie zupełnie dymem z papierosów i cygar, widać było kilkunastu wykwintnie ubranych panów, grających w bilard. Inni, siedząc naokoło małych stolików, grali w karty lub domino. Od czasu do czasu rozlegał się po sali głośny śmiech, to znów słyszałeś, jak podniesiony jaki jegomość dla nadania swoim słowom większej wagi, uderzał pięścią w stół, zresztą jednak panował wszędzie wzorowy porządek i ład. Nic nie zdradzało charakteru miejsca ani gości. Ludzie, siedzący za bufetem i zajęci mieszaniem rozmaitych napojów wyskokowych, nie różnili się niczem od swoich towarzyszy po fachu, jakich się spotyka w każdej restauracyi wschodniej Ameryki, a goście wyglądali po większej części na dżentelmenów, których zachowanie się i sposób wyrażania nawet znającemu tajemnice restauracyi „pod blaszanką“ dawały dużo do myślenia.

Obcy mogli przychodzić „pod blaszankę“ bez obawy niebezpieczeństwa. Było bowiem prawo, przez wszystkich klientów tej słynnej na cały świat restauracyi surowo przestrzegane, a zakazujące obrabowywania i mordów w murach restauracyi, ażeby przez to nie dawać policyi sposobności do wkraczania tam. Policya zresztą i tak rzadko się tam zjawiała. Za progiem restauracyi, na przedmieściu Bowry, stanowiącem punkt zborny dla wszystkich szumowin społecznych New-Yorku, wychodzących w nocy na żer, prawo to, jakie zbrodniarze sami na siebie nałożyli, ustawało, traciło swoją moc. Człowiek, który był na tyle nieostrożnym, że „pod blaszanką“ wygadał się lub pokazał jakieś wartościowe przedmioty, albo pieniądze, był zgubiony. Skoro tylko przestąpił progi restauracyi i stanął na ulicy, rzucało się na niego kilku łotrów, obalano go na ziemię i odbierano mu skarby, jeżeli zaś bronić się usiłował – i życie. Tak było i tak jest do dziś dnia; wymownym tego dowodem są kroniki policyjne, notujące po kilkanaście wypadków obrabowywania przechodniów i mordowania na Bowry w każdą prawie noc.

W jednym kącie sali przy małym stoliku, noszącym charakterystyczną nazwę *„pauwau“*, siedziało trzech ludzi, dwaj ogromnie wysocy, jeden średniego wzrostu. Ten ostatni miał w swojej twarzy i całej postaci coś, co przykuwało doń wzrok każdego. Twarz wcale przystojna, pociągła, ozdobiona długą, gęstą brodą, miała wyraz jakiejś dziwnej powagi; na czole widać było małe kępki włosów, spadające z łysej prawie zupełnie czaszki. Oczy, głęboko podkrążone, świeciły jakimś fosforycznym blaskiem. Surdut, trochę już wyszarzały, kazał przypuszczać, że był kiedyś świadkiem wspaniałych dni; dziś brakowało na nim już parę guzików i wogóle znać było, że z właścicielem jego nie jest najlepiej. Dwaj inni mężczyźni, siedzący obok, byli starannie ubrani i dobrze odżywieni, tak, że u człowieka, nie znającego tajemnic restauracyi „pod blaszanką“, nie mogli obudzić najmniejszych nawet podejrzeń.

— No, Bill — rzekł jeden z nich, rzucając okiem na wielki zegar ścienny, wiszący nad bufetem — wyjedź-no z tymi wspaniałymi planami. Dziesiąta wybiła i czas do roboty już niedaleko. Przypuszczam, że masz wszystko w porządku, mój chłopcze, i że nam udowodnisz, żeśmy cię nie na darmo przypuścili do współuczestnictwa w naszym interesie — co?

Bill, do którego te słowa były zwrócone, zaczął obracać oczyma.

— Ciekawa rzecz — rzekł — że wszyscy genialni ludzie cierpią na kolosalny brak pieniędzy. Tak jest z malarzami, literatami, artystami dramatycznymi, politykami, wynalazcami i *last net least* ze złodziejami. Złodzieje kieszonkowi, dla których zresztą — mówił dalej, rzucając okiem na jednego z towarzyszy — mam zawsze pewnego rodzaju szacunek, zarabiają pieniądze za pomocą swoich pięciu palców, ubierają się łajdacko wykwintnie. noszą wielkie jak pięści dyamenty i żyją sobie tak, jak dyrektorzy banków, ministrowie kolei i inne drapieżne zwierzęta — haha! a jeżeli chodzi o wykonanie jakiegoś większego rabunku, jeżeli chodzi o zdobycie naraz milionów, wtedy musimy pomagać my, należący do arystokracyi złodziejskiej, artyści że tak powiem...

— Do rzeczy, Billu, dowcipkowanie nie w porę — przerwał Billowi jeden z współsiedzących, do którego specyalnie odnosiła się uwaga o złodziejach kieszonkowych — ciesz się, żeśmy cię teraz, kiedy z tobą pod względem finansowym krucho, zaprosili do naszej roboty. Bah! Są przecież jeszcze i inni włamywacze...

— Do kroćset! – odezwał się nagle Bill. — Są jeszcze inni włamywacze i to dosyć znani — racya. Powiadam: racya! Jest ich do dyabła, ale żaden z nich nie dorósł mi do pięt! Czarta się pytać, na co ja zejdę, ale teraz jestem: Bill Crookey, pierwszy włamywacz i rozbijacz kas w całych Stanach Zjednoczonych Ameryki!

Obaj inni skinęli głowami, a Bill umilkł na chwilę, poczem zaczął mówić szyderczo:

— Jednak wy macie. niestety, słuszność. Na razie jestem goły. Bo też ja, jak się wyraził swego czasu wielki fałszerz pieniędzy, Jim Humphrey, który siedzi obecnie w Colorado, jestem największym optymistą, jaki się może znaleźć w lasach północnej Ameryki. Zarobię dzisiaj dziesięć tysięcy dolarów — jutro je przepiję, przegram, stracę i znowu nie mam nic. Ale humoru chłopak taki, jak ja, nigdy nie straci! Tak, chłopcy! To wam udowodnię. Pomimo, że mój żołądek wyprawiał mi formalne koncerty, przyłożyłem rękę do tego planu, który memu imieniu przyniesie chwałę. Oto jest!

Przy tych słowach wyciągnął z kieszeni papier, rozłożył go na stole i ciągnął dalej, podczas gdy obaj inni ciekawie pochylili się nad stołem:

— Patrzcie, chłopcy, tu jest bank – widzicie? Róg Broodway i Avenue. Tu znajduje się brama żelazna. Przez tę bramę my, to jest ja i Todd, przeleziemy, Graber zaś pozostanie na straży. Patrzcie! W dziedzińcu znowu druga brama. Przeleziemy ją i staniemy przed jednem oknem banku, którem, ja i Lone Jak, ten mistrz złodziejski, już tak urządzili, że się da wyjąć całe z ramami i kratą. Znalazłszy się tam — no, *well*, to już mnie zostawcie, otworzę wam kasę jak orzech kokosowy, a otworzę bez szelestu, tak, według wszelkich prawideł naszej sztuki. Czyście zadowoleni?

— Brawo! Hurra! — zawołał Todd, uderzając pięścią w stół, aż się szyby w lokalu zatrzęsły — wspaniałe! kolosalne! i niech mnie dyabeł zje na śniadanie, jeśli nie porzucę złodziejstwa kieszonkowego, a nie zapiszę się do cechu rozbijaczy kas!...

Bill uśmiechnął się zjadliwie.

— Spróbój — rzekł — jeżeli sądzisz, że te kilka łutów twego rozmiękczonego mózgu wystarczy przy naszej robocie. Przekonam cię jednak łatwo, że kradzież kieszonkowa jest robotą dyabelnie łatwą w porównaniu z rozbijaniem kas bezpieczeństwa.

— Dobrze, Bill, to pójdę do ciebie na naukę i praktykę.

— No, o tem potem. Naprzód pokaż dzisiejszej nocy. co potrafisz, a przedewszystkiem każ przynieść whisky, bo mię tak w gardle pali, jakbym od czasu, kiedym ssać przestał, tego biednego gardła nigdy nie odwilżał.

Następne godziny przepędzili trzej nasi znajomi przy whisky, którą kelnerzy coraz częściej przynosili na stół. Od czasu do czasu przysiadał się do nich jeden z panów kolegów, ażeby słynnemu Billowi złożyć uszanowanie. Dopiero kiedy na zegarze wybiła dwunasta, a restauracya poczęła się wypróżniać, wstali także i trzej dżentelmeni od *„pauwau“* i wyszli do ciemnej już dzielnicy Bowry. Bez pożegnania rozeszli się i udali się – każdy dla siebie, jakby się nigdy nie znali – do stacyi kolejowej, znajdującej się u stóp wielkiego wiszącego mostu, łączącego New-York z Brooklynem. Wszyscy trzej kupili bilety i odjechali tymsamym wprawdzie pociągiem, ale w innych wagonach, do górnego miasta. Przybywszy tam, nie zmienili taktyki. Zupełnie oddzielnie szedł każdy swoją drogą i dopiero około pierwszej w nocy spotkali się razem na rogu Broodway i Avenue.

To, co teraz nastąpiło, odbywało się z błyskawiczną szybkością i dowodziło, że przygotowania były bardzo staranne i umiejętnie zrobione. Bill porozumiał się szeptem z towarzyszami, poczem wszyscy trzej przeleźli przez żelazną bramę, znajdującą się blisko ulicy i spuścili się po drugiej stronie bez szelestu na ziemię. Dwaj z nich znikli następnie w głębi dziedzińca, trzeci położył się za bramą na ziemi i nakrył głowę płaszczem, tak, że zdawało się, iż go ciemność nocy nagle pochłonęła. Jak przyszli — cicho, ostrożnie, bez najmniejszego szmeru, tak teraz wszyscy trzej w jednej sekundzie znikli.

Na zewnątrz panował względny spokój. Ulice były puste. W regularnych odstępach czasu rozlegało się tylko to słabsze, to silniejsze echo kroków patrolującego policyanta. Odgłos tych kroków stawał się coraz słabszy i słabszy i ginął wreszcie w oddali Avenue. I nastawała cisza. To znów słychać było przytłumiony huk pędzącego gdzieś w dali pociągu, sygnały okrętów, dobijających do brzegu, albo chód spóźnionych osobników, powracających w podnieconym stanie do rodzinnego ogniska.

Upłynęło już pół godziny, a w olbrzymim gmachu, w którym się mieścił bank, jeszcze się nic nie poruszyło. Strażnik, zniecierpliwiony, podniósł ostrożnie płaszcz, wylazł na bramę i bystrem okiem zbadał ulicę. Wtem — co to? — Lekki świst.

(Ciąg dalszy nastąpi).



...przy małym stoliku, noszącym charakterystyczną nazwę „pauvau“, siedziało trzech ludzi...



Szesnastoletni „bohater" z pod Mukdenu: Roman Bojko w mundurze rosyjskiego kaprala.

Dziesięciolecie istnienia stow. rob. kat. „Praca" w Tarnowie.

Stowarzyszenia katolickie, mające na celu skupienie robotników katolickich, zorganizowanie ich i pracę nad podniesieniem oświaty wśród robotników — to instytucye ogromnie potrzebne i ogromnie użyteczne. Dzisiaj zwłaszcza, kiedy społeczeństwo nasze nurtują najrozmaitsze, czasami najsprzeczniejsze prądy, dzisiaj, kiedy nawet do sfer mało inteligentnych przekrada się jadowity prąd niewiary, powodujący jeno obniżenie etycznej strony życia tych sfer, stowarzyszenia katolickich robotników, pozostające pod światłem kierownictwem oddanych pracy społecznej kapłanów, mają nielada cel do spełnienia. One to mają być temi ogniskami, skupiającemi w sobie wszystkich robotników, ożywionych duchem chrześcijańskim, one to stanowić mają zastępy, które walczyć mają z szerzącą się coraz bardziej anarchią. Religia katolicka daje im siłę, kapłani wskazują drogi, wiodące do celu; to jest najlepszą rękojmią, że celu swego dopiąć muszą.

Przed kilkunastu dniami stowarzyszenie katolickich robotników „Praca" w Tarnowie obchodziło uroczyście jubileusz dziesięcioletniego istnienia. Uroczystość rozpoczęła się pochodem członków stowarzyszenia, przy dźwiękach muzyki strażackiej, do kościoła na Borku, gdzie ks. dr. Jan Dutkiewicz odprawił uroczyste nabożeństwo. Podniosłe kazanie, zastosowane do okoliczności, na temat; „Św. Józef — patron stow. „Praca" — jest wzorem dla robotnika" — wypowiedział superior ks. Misyonarzy ksiądz Tyczkowski. Po nabożeństwie wrócili uczestnicy do lokalu „Pracy" gdzie odbył się uroczysty poranek, na który przybył również ks biskup Wałęga, powitany piękną przemową prezesa „Pracy", ks. dra Żygulińskiego, posła do Rady państwa, oraz przemową jednego z robotników. Ks. biskup wyraził radość z powodu, że stow. „Praca" rozwija się z dniem każdym, przyrzekł je otaczać swoją opieką i udzielił zebranym błogosławieństwa. Wychowankowie internatu seminaryum nauczycielskiego pożegnali ks. biskupa odśpiewaniem odpowiedniej kantaty.

W końcu architekt p. Stapf, wygłosił bardzo zajmujący i pełen podniosłych myśli odczyt na temat „Praca wzbogaca".

Podniosłą tę uroczystość, która wszystkim obecnym na długo zapisała się w pamięci, zakończyła wspólna fotografia wszystkich uczestników, którą poniżej podajemy Szan. Czytelnikom.

Podajemy obok również fotografie prezesa stow. „Praca" posła ks. Żygulińskiego, ks. dra Dutkiewicza, wiceprezesa tegoż stowarzyszenia ks. Tyczkowskiego i architekta p. Stapfa.

Szesnastoletni „bohater" z pod Mukdenu.

Niemałą senzacyę budzi obecnie we Lwowie „bohater" z wojny rosyjsko-japońskiej, mały chłopczyna, który, jak sam opowiada, brał podobno udział w bitwie mukdeńskiej, poczem, zraniony lekko pod Tienlinem, udekorowany dwoma krzyżami, z tych jeden krzyż Jerzego „za waleczność", powrócił obecnie do Lwowa. Ubrany w mundur rosyjskiego kaprala, tylko bez szabli, której mu we Lwowie nosić nie wolno, chłopaczek ten z dumą przechadza się po Lwowie, opowiadając cuda o zmyślności i waleczności „Japońców", z których jednego wprawdzie zabił, ale tylko dlatego, że nie chciał się dostać do niewoli japońskiej; zabił mianowicie jednego z dwóch konwojujących go żołnierzy japońskich, czmychnął i szczęśliwie dostał się do obozu rosyjskiego, gdzie mu Kuropatkin własnoręcznie przypiął order św. Jerzego.



10-lecie istnienia stow. rob. kat. „Praca" w Tarnowie: Ks. dr. Michał Żygliński, poseł do Rady państwa i prezes stow. „Praca".

Roman Bojko — tak się nazywa „bohater" z pod Mukdenu — jest synem ubogiego stróża. Dzieckiem jeszcze będąc, młody Romanek marzył tylko o tem, w jaki sposób mógłby się jaknajprędzej puścić w świat i szukać na nim lepszej doli; przed dwoma laty umknął z domu rodzicielskiego i słuch o nim zaginął. Obecnie pokazało się, że młody pędziwiatr był w Wiedniu, Pradze, Bernie, w Katowicach i wszędzie zarabiał na życie posługiwaniem w restauracyi. Wzrostu drobnego, o sympatycznym wyrazie twarzy i sprytnych oczach, robi na każdym dobre wrażenie; to musiało mu też pomagać w jego wędrówce. Dostał się wreszcie do Sosnowca w Królestwie, gdzie dano mu miejsce pisarzyka. W czasie branki zgłosił się na ochotnika i przyjęty wyruszył 1 września z. r. z Brześcia litewskiego na pole wojny. Po bitwie mukdeńskiej zraniony lekko, prosił o puszczenie go do domu.

Podajemy fotografię tego naocznego świadka mukdeńskich zapasów.



Dziesięciolecie istnienia stowarzyszenia robotników katolickich „Praca" w Tarnowie: Grupa robotników, należących do stowarzyszenia, zdjęta przed domem „Pracy".

Brodzka straż pożarna ochotnicza.

Dziwnym zbiegiem okoliczności nawiedzają Brody zbyt częste pożary. Niezbyt dawno, bo przed trzema laty, nie było dnia, by to w jednym, to w drugim domu nie wybuchł ogień, który pochłaniał często bardzo kilka zabudowań. Dopiero energicznej akcyi ze strony starosty hr. Rusockiego udało się tamę położyć dalszym pożarom, które do tego stopnia były zaniepokoiły mieszkańców, że każdej nocy jeden z członków rodziny musiał czuwać nad bezpieczeństwem reszty. Pożary bowiem wybuchały zazwyczaj o tej porze, w której ludzie w najgłębszym śnie byli pogrążeni, kiedy więc niebezpieczeństwo utraty mienia i życia w płomieniach było bardzo dużem. W bieżącym roku, z nastaniem ciepłych dni, zaczęły znowu pojawiać się częste ognie. Jeden z nich objął skład mebli, przy najgłówniejszej ulicy się znajdujący, przylegający bezpośrednio do drukarni i księgarni Westa. W parę dni później pali się znów dom wraz ze zabudowaniami wszystkiemi w Starych Brodach. Tak w pierwszym jak i w drugim wypadku ochotnicza straż ogniowa brodzka, dzielnie wspierana przez pogotowie wojskowe, a w ostatnim wypadku, otrzymawszy zapasy wody ze strony naczelnika kolejowego, który wysłał tren pożarny, umiejscowiła ogień, który zagrażał straszną klęską.

Brodzka straż ochotnicza ogniowa właśnie ukończyła 35-lecie swego istnienia, liczy 30 czynnych i 140 wspierających członków i zostaje po przeniesieniu do Rzeszowa jej dzielnego naczelnika prof. Kuczery i po rezygnacyi następcy jego pana Sikorskiego pod dzielnem kierownictwem p. Bielańskiego, którego wspiera długoletni, prawdziwie zasłużony sekretarz towarzystwa p. Michał Semenowicz. Za zasługi, położone około ratowania ludzkiego mienia i życia z narażeniem własnego zdrowia, otrzymała komenda ochotniczej straży pożarnej od rady miejskiej wyrazy uznania. Będzie to zapewne dla tego towarzystwa zachętą do wytrwania na swym trudnym a równie pożytecznem stanowisku.



Brodzka straż pożarna ochotnicza: Oddział straży ochotniczej pożarnej z kapitanem, p. Bielańskim, na czele.

Nowy kościół XX. Misyonarzy
w Tarnowie.

Miasta polskie, szczególnie większe miasta, które przed wiekami były warownemi twierdzami, mającemi stanowić obronę przed najazdem wrogów, odznaczały się zwykle większą liczbą kościołów. Chlubna to oznaka, że ojcowie nasi, owi rycerze, co mieczami swemi i ciałem bronili Chrystusowej religii, stali wiernie przy kościele i hojnie łożyli grosz na wspaniałe świątynie, mające po wieki być znakiem nietylko ich pobożności ale i lepszych czasów, świetniejszych. Kraków np. zwano powszechnie Rzymem polskim, tak wiele w nim było świątyń, słynnych na cały świat z powodu piękności architektonicznej i bogactwa. Szczególna rzecz, że gród Tarnowskich, że Tarnów nie poszedł w ślady innych. Tarnów pod względem ilości świątyń pozostał w tyle za innemi miastami.

Dopiero w ostatnich czasach, z rozrostem miasta wzmogła się i liczba świątyń. Obecnie zaś przybywa jeden jeszcze kościół, mianowicie kościół ks. Misyonarzy na Strusinie.

Misyonarze, zwani także Lazarystami, jest to zgromadzenie kapłanów katolickich, założone w roku 1624 przez św. Wincentego a Paulo, a potwierdzone przez papieża Urbana VIII. Zadaniem tego zgromadzenia jest oświecanie ludu zapomocą misyi i utwierdzanie go w wierze katolickiej. Działalność Misyonarzy skierowaną była pierwotnie wyłącznie na misye w samym kościele, później, podobnie, jak Bracia miłosierdzia zajęli się pielęgnowaniem chorych. Wkrótce, bo jeszcze w XVII wieku rozszerzyli się nietylko we Francyi, ale i we Włoszech, Polsce, Szkocyi i Irlandyi i t. p. Do Polski wprowadzeni zostali przez Maryę Ludwikę, żonę Jana Kazimierza. Mieli w Polsce klasztory: w Krakowie, Łowiczu, Lublinie, Płocku, Włocławku, Mławie, Tykocinie, w Wilnie i w wielu innych miejscach. Misyonarze u nas, jako nauczyciele seminaryów i cenzorowie książek religijnych wywarli wielki wpływ na stan nauk teologicznych.

Przed kilkunastu dniami odbyło się w Tarnowie uroczyste poświęcenie miejsca pod budować się mający kościół księży Misyonarzy. Na ilustracyi naszej przedstawiony jest właśnie akt poświęcenia. Tak więc Tarnów pozyska jeszcze jedną świątynię, z której szły będą promienie prawdziwej nauki. XX. Misyonarze wyrobili sobie już w kraju naszym dobrą markę jako znakomici kaznodzieje. To też nową ich świątynię witają wszyscy z żywą sympatyą.



Nowy kościół XX. Misyonarzy w Tarnowie: Poświęcenie placu pod budowę nowego kościoła na „Strusinie".

ZE ŚWIATA.

Wybory do rady miejskiej. — Cornelius Nepos. — Jaka powinna być rada miejska. — Zaściankowe filisterstwo. — Przygody ojca i syna w Paryżu.

Mamy w Krakowie ruch, jak gdyby ktoś do mrowiska nalał wrzącej wody. Tą wrzącą wodą są wybory. Gdzie tylko zejdzie się kilku ludzi, natychmiast urządzają sobie improwizowane zgromadzenie przedwyborcze, na którem wszyscy mówią równocześnie, zarzucając sobie nawzajem sobkostwo, ignorancyę, polowanie na dygnitarstwa i t. p. A co się dzieje na zgromadzeniach publicznych, wiecie z codziennych relacyj dzienników krakowskich. Osobną rubrykę stanowią tak zwane sprawy zakulisowe, które każde stronnictwo przykrywa wstydliwie liściem figowym.

Czy mam wzorem Homera lub Wirgiliusza wezwać Muzy na pomoc, ażeby godnie opisać krakowskie wybory? Mam zacząć od stańczyków, czy demokratów, czy od socyalistów? Czy mam opiewać Federowicza, Rottera, czy Marka? Czy mam radować się z pogromu Miedniaka, czy też łzy nad nim ronić? Czy mam bić „brawo“ pani Bujwidowej, czy też ją potępić. A może należałoby wspomnieć o hyenach wyborczych w anglezach, bluzach i tużurkach? Jaknajchętniej pisałbym o tem wszystkiem, gdybym zamiast skromną rubryką „Ze świata“ rozporządzał całym numerem „Nowości Ilustrowanych“. Dałbym portrety zwycięzców i zwyciężonych; życiorysy ich dokładne; wszystkie mowy, które kiedykolwiek wygłosili; stworzyłbym coś w rodzaju wyborczego Corneliusa Neposa dla użytku publiczności, nie chodzącej do szkoły.

Ale skoro wyrzec się muszę tego miłego zadania, to pozwolicie, że w krótkości nakreślę, jak sobie przedstawiam obowiązki radcy miasta Krakowa. Otóż przedewszystkiem — jak sądzę — każdy radca krakowski pamiętać powinien o tem, że Kraków jest miastem... polskim. Alež to się rozumie samo przez się — zawoła czytelnik. Tak jest, to się rozumie samo przez się, ale to nie przeszkadza naszej radzie miejskiej, że chce być „strasznie“ lojalną, bardziej austryacką, niż Austryacy, bardziej uważającą na stosunki z miłymi sąsiadami, niż sam hr. Gołuchowski. A przy rozmaitych sposobnościach, jak to na jednem z posiedzeń wykazał radca Bartoszewicz, radaby Niemcom usłać w Krakowie tak zaciszne i wygodne gniazdko, ażeby sądzili, że oni są w swoim domu, a my u nich w gościnie.

A dalej pragnąłbym, ażeby radca miejski pamiętał, że Kraków jest ogniskiem umysłowości polskiej. I gdyby o tem pamiętano również podczas wyborów, to byśmy potem na posiedzeniach komisyi nie mieli tyle humorystycznych poglądów, tyle zaściankowego filisterstwa, takiego braku odczucia dla zadań kulturnych. I nie myślcie, że przemawiam w tej chwili przeciwko tym, którzy nie posiadają dyplomów naukowych i wogóle patentu na inteligencyę. Można mieć dyplom doktorski i odznaczać się ciasnotą horyzontu umysłowego, można być rzemieślnikiem, a posiadać wrodzone odczucie dla tych rzeczy, które składają się na umysłową kulturę narodu.

W konsekwencyi tego, co powiedziałem, pragnąłbym, ażeby rada miasta Krakowa pamiętała o swej powadze ciała zbiorowego, które jest przedstawicielem pełnego chwały grodu Jagiellonów. Mógłbym przytoczyć setki wypadków, w których krakowska rada miejska wobec rządu odgrywała rolę kopciuszka, jakiejś istoty niepełnoletniej. Gospodarskie przysłowie o pokornem cielęciu, które dwie krowy ssie, jest wogóle paradoksem, a w życiu publicznem poprostu głupstwem. Kraków ma zwyczaj prosić nawet wtedy, kiedy ma prawo żądania. To chyba nie przyczynia się do powagi miasta.

A z tego wreszcie wynika, że radca miejski powinien być wobec rządu niezawisłym. W Anglii, gdzie kwitnie samorząd, władze rządowe mają ściśle ograniczony teren działalności; w Austryi rząd ma nadzwyczajnie rozległe atrybucye, a potulna, zwłaszcza w Galicyi, ludność pozwala na to, że rząd uzurpuje sobie rozmaite przywileje poza ramami ustaw. Wiemy o tem, że władze mają mnóstwo otwartych i ukrytych sposobów wpływania na obywateli, którzy często nieświadomie są manekinami. Otóż niezawisłość radców miejskich od władz rządowych jest niezawisłością miasta.

Wspomniałem o ciasnocie horyzontu umysłowego nawet u ludzi, mających pretensyę do inteligencyi, a nawet urzędowe potwierdzenie dojrzałości umysłowej pod postacią patentu. Oto na wystawie światowej w Leodyum pośród grupy drzew, obok pałacu sztuki, znajduje się znana grupa rzeźbiarza



Franciszek Wysocki.

Jefa Lambeaux p. t. „Le Faune mordu“. Grupa ta na wystawach w Brukseli, Paryżu, Düsseldorfie i St. Louis uznaną została za arcydzieło, a w Leodyum zarząd wystawy skwapliwie przyjął tę rzeźbę. Ale znaleźli się ludzie, dla których faun, walczący z nimfą, stał się kamieniem obrazy z powodu nagości. Ludzie ci rozpoczęli prowincyonalną krucyatę przeciwko „niemoralnemu“ dziełu, i tak wytrwale obrabiali dyrekcyę wystawy, że wreszcie dyrekcya odesłała rzeźbiarzowi jego grupę. W Brukseli, a zwłaszcza w Paryżu, uśmiech politowania był odpowiedzią na to zarządzenie leodyjskich filistrów i fałszywych stróżów moralności.

Dzienniki paryskie opowiadają śmieszną historyę o losach pewnego ojca i syna, który w Paryżu utonęli w morzu rozrywek. Gdzieś tam w głębokiej prowincyi w starożytnym zamku mieszka pewien hrabia feudalny, który zerwał zupełnie ze światem i zamknął się w swoim zamku od chwili, gdy bezbożni republikanie objęli rządy we Francyi. Stary hrabia polował, grał w wista z proboszczem i czekał na powrót prawowitego monarchy. Syn jego, młodzieniec, tryskający zdrowiem, polował także otwarcie i skrycie na zwierzynę w realnem i przenośnem znaczeniu, ale w wista nie grał, czy zaś czekał na powrót prawowitego monarchy, niewiadomo.

Pewnego dnia odbyła się w zamku rada familijna, w której wzięli udział członkowie rodziny, ks. proboszcz, wikary i kilku wiernych przyjaciół. Stary hrabia uznał, że niepodobna syna trzymać nieustannie w zamku i że go należy na pewien czas wyprawić w świat, a ponieważ dla Francuza jest Paryż światem, więc postawił sobie hrabia pytanie, czy wysłać tam syna, czy nie. Odstraszała go republika, ale z drugiej strony mówił sobie, że w republikańskim Paryżu dosyć jest jeszcze szlachty feudalnej, która pozostała wierną staremu porządkowi rzeczy. Rada familijna rozważała długo wszystkie „za“ i „przeciw“, aż wreszcie ks. proboszcz przeważył szalę na rzecz Paryża.

I młody hrabia znalazł się w Paryżu. Minął czas przepisanego pobytu w stolicy, stary hrabia czekał codziennie na przybycie syna, aż wreszcie nie mogąc się doczekać go, postanowił sam pojechać do Paryża, przeczuwając coś złego. I dobrze przeczuwał. Trafił właśnie na chwilę, gdy w apartamencie panna Nina czyniła wyrzuty młodemu hrabiemu, że stał się jej niewiernym. W toku rozmowy, nadzwyczajnie burzliwej, panna Nina oświadczyła, że rezygnuje z dalszej miłości hrabiego, ale za pewnem odszkodowaniem.

Stary hrabia, dowiedziawszy się o wszystkiem powiedział synowi: „Wyjdź!“ Syn wyszedł, a stary hrabia rozpoczął pertraktacye z panną Niną. Jak tam owe pertraktacye odbywały się, nie wiadomo, dosyć, że w zamku stara hrabina daremnie czekała na przybycie męża i marnotrawnego syna. Mijał dzień za dniem, aż wreszcie stara hrabina zwierzyła się proboszczowi. Po długiej naradzie ks. proboszcz pojechał do Paryża. Tam skonstatował, że stary hrabia własną osobą pragnął wynagrodzić szkodę pannie Ninie, a młody hrabia zajął się panną Korą, byłą aktorką byłego teatrzyku. I pewnego dnia przyjechał stary hrabia, marnotrawny syn i ks. proboszcz, a stara hrabina, załamawszy ręce, zawołała:

— Oto Paryż republikański!

Franciszek Wysocki.

Jeden z największych i jeden z tych, którzy jak skała przetrwali wszystkie burze teatralne ostatnich lat kilkudziesięciu, nie uroniwszy nic ze swojej wielkiej wartości.

Urodził się pan Franciszek we Lwowie w roku pańskim 1855, a rodzice jego mieli gust „zrobić“ ze swego synka znakomitego... inżyniera. Widzieli w nim talent ku temu, choć małemu Frankowi ani rusz nie lazła w głowę matematyka, a różne cyrkle i rajscajgi same wysuwały się z rąk. To też pewnego dnia pożegnał się raz na zawsze z logarytmami, sinusami i cosinusami i wstąpił — a było to w roku 1870 — do szkoły dramatycznej, założonej przez Towarzystwo przyjaciół sceny narodowej we Lwowie. Lecz po krótkim już czasie rozwiązało się towarzystwo i upadła istniejąca przy niem szkoła dramatyczna, której duszą i kierownikiem był ówczesny reżyser teatru lwowskiego śp. Karol Królikowski. Wtedy to zgłosił się młody Wysocki – mając poza sobą półtoraroczne studya dramatyczne — do ówczesnego dyrektora sceny lwowskiej Abama Miłaszewskiego z prośbą o przyjęcie... Dyrektor miał zasady... Jedną z tych zasad było: wszystkie szkoły dramatyczne dyabła warte, musisz człowiecze praktycznie się kształcić na scenie, a wtedy ja cię zaangażuję!... Nie było apelacyi...

Jedzie tedy pan Franciszek praktycznie się kształcić — oczywiście na prowincyę. Zaczyna u dyr. trupy prowincyonalnej Iwańskiego i Swaryczewskiego. Od początku wziął ten rodzaj ról, w których mu dotąd nikt nie dorówna. To były typy ludowe, mieszczańskie. Najlepszym był (i jest) w rolach chłopaków (*Naturbursche*), a obok tego brat lirycznych kochanków. Potem przechodzi pod dyrekcyę Woźniakowskiego, Grafczyńskiego i wędruje z nimi po świecie, pracując wszędzie z wielkiem powodzeniem. W roku 1876 idzie do Poznania, a w 1877 angażuje go Koźmian z własnej pobudki do Krakowa, gdzie bawi do roku 1880.

W tym roku po blisko dziesięcioletniej „praktyce“ mógł już p. Wysocki wrócić do Lwowa, gdzie jeszcze ciągle rządził dyr. Miłaszewski. Wrócił na stałe i odtąd bez przerwy, a zatem od lat 25 p. Wysocki jest stałym członkiem teatru lwowskiego po dzień dzisiejszy.

Jak już powiedziałem, grywa pan Wysocki od samego początku ze szczególnem zamiłowaniem typy ludowe i lirycznych kochanków – zwłaszcza w pierwszych dziesięciu latach swego pobytu we Lwowie. Po tym okresie przechodzi do ról czysto charakterystycznych, przeważnie dobrodusznych staruszków. Przez cały czas specyalnością jego są role chłopaków ludowych, których odtwarza z zadziwiającą plastyką. Do takich należą Janek w „Krakowiakach i Góralach“, Wojtek w „Hulaj dusza“, Marcinek w „Chłopach arystokratach“, Kuba w „Łobzowianach“, Walek w „Wigilii św. Jędrzeja“ i wprost pyszna kreacya głupiego Janka w „Chacie za wsią“. Taksamo pamiętamy jego świetnych staruszków: Błażej w „Posażnej jedynaczce“, Gobbo w „Kupcu weneckim“, stary pasterz w „Zimowej opowieści“, starzec w „Wnętrzu“, Ben Akiba w „Urielu“ i wiele innych. Z typów mieszczańskich tak wybornych a prawdziwych nie wymieniam żadnej roli, gdyż trudny byłby tu wybór — prawie w każdej komedyi mieszczańskiej p. Wysocki grał wspaniale. Z amantów lirycznych ostatnią jego rolą jest Aligi w „Córce Joria“.

Znane są powszechnie olbrzymie zalety gry tego artysty. Szczerość i prostota w grze przy znakomitej obserwacyi pozwalają panu Wysockiemu stawiać role tak pewnie i świetnie, że na długo zostają w pamięci słuchacza. Zadziwiającą jest ta równomierność, z jaką p. Wysocki traktuje każdą rolę, większą, tytułową, czy epizodyczną. Opracowuje każdą z tą samą sumiennością, każdą pogłębia należycie i z wielkim nakładem pracy ją odtwarza. To też p. Wysocki nie ma ról kiepskich i niemal każdą można uważać za popisową.

Od szeregu lat jest reżyserem lwowskiej sceny, który to urząd dzieli z p. Solskim. Jako reżyser jest tak samo sumiennym i pracowitym, a pamięta o każdej choćby najmniejszej rólce, o najdrobniejszym szczególe.

To też p. Wysocki stale cieszy się wielkim mirem wśród swoich kolegów, a sprawozdania dziennikarskie z teatru nie mają dość słów pochwały dla jego pięknej gry.

W życiu codziennem spokojny filozof, patrzący na świat i ludzi przez pryzmat dobrodusznego człowieka, któremu dobrze na świecie, bo mu ten świat nie płaci niewdzięcznością za wielką pracę i wielki talent. A to już dobrze...

Klewe.



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Pikieta japońska na straży.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Rozmaici sprawozdawcy wojenni zaczynają już sygnalizować wielki atak marszałka Oyamy na szyki Liniewicza. Nie od rzeczy będzie wobec tego zaznajomić się z poglądami, jakie na rezultat tego ataku mają specyaliści rosyjscy. Referent wojenny „Ruskich Wiedomosti“ zajmuje się w jednym z numerów tego pisma bardzo szczegółowo tą kwestyą. Pisze on między innemi:

„Wedle oficyalnych danych japońskich armia Oyamy straciła pod Mukdenem 57 tysięcy, a pod Tielinem 3 tysiące ludzi, tak, że jej siła wojenna spadła z początkiem kwietnia z 450 tysięcy na 390 tysięcy żołnierza. Następnie jednak przyszły do Mukdenu bardzo znaczne posiłki. Japończycy sformowali dwie nowe armie: szóstą pod dowództwem generała Hasegawy, komendanta korejskich wojsk okupacyjnych i siódmą, której dowódzca nie jest znany, ale przypuszczalnie jest nim generał Uiszi, który dowodził dawniej drugą dywizyą w armii Kurokiego. Mówimy o szóstej i siódmej armii, cztery bowiem znajdują się już poza Mukdenem, pod buławą marszałka Oyamy, piąta zaś szła na Władywostok. O armii tej nie mamy do dziś dnia żadnych szczegółowych wiadomości, możemy jednak twierdzić napewne, że armia ta rzeczywiście ruszyła na Władywostok, którędy i jak niewiadomo, ale przedarły się już do nas wieści o jej istnieniu. Dlatego armię Hasegawy nazywamy szóstą.

Szósta i siódma armia, stanąwszy na placu boju, podwyższy siłę liczebną Oyamy do 610 tysięcy ludzi, z 2 tysięcami dział i karabinów maszynowych; razem z wojskami, konsystującemi na tyłach armii, cyfra ta wzrośnie do blisko 700 tysięcy ludzi.

Japoński plan wiosennej kampanii przedstawia się, o ile naturalnie możemy coś wnosić o zamiarach Japończyków, w następujący sposób:

Armia piąta, zostająca pod komendą generała Hasegawy, w sile przeszło 100 tysięcy ludzi maszeruje na Władywostok i oblegnie go z początkiem lata. Równocześnie marszałek Oyama na czele sześciu armii w łącznej sile przeszło 500 tysięcy ludzi idzie na Liniewicza. Ażeby ta operacya się udała, musi Oyama zająć linię Kwangczenatsi-Kiryn, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Hasegawa przekroczy rzekę Tumen. W tym celu aby utrzymywać łączność między Oyamą a Hasegawą, siódma armia idzie na Wschód na Ningutę.

Jak się zaś przedstawia plan rosyjski?

Przedewszystkiem trzeba zważyć, że siły Liniewicza nie wystarczają do powstrzymania w pochodzie olbrzymiej armii Oyamy. Armia rosyjska stopniała od lutego z 350 tysięcy na 200 tysięcy ludzi. Nadesłane w tym czasie posiłki europejskie w liczbie najwyżej 70 tysięcy ludzi, podniosły siłę Liniewicza do cyfry 270 tysięcy ludzi. W marcu, kwietniu i do połowy maja mógł Liniewicz otrzymać z Europy w najlepszym razie 120 tysięcy ludzi, tak, że w chwili, kiedy marszałek Oyama rozpocznie ofenzywę, Liniewicz będzie miał około 390 tysięcy ludzi naprzeciw 500 tysięcznej armii Oyamy.

Garnizon władywostocki, już po wzmocnieniu, liczy dziś najwyżej 50.000 ludzi wobec 100 tysięcy Hasegawy. Przy takiej przewadze sił nieprzyjacielskich nie pozostanie Liniewiczowi nic innego, jak chwycić się taktyki Kuropatkina i cofać się znowu na północ, na Charbin, gdzie ostatecznie rozstrzygnie się los Mandżuryi północnej i Władywostoku, a z nimi także prawdopodobnie i całej wojny“.

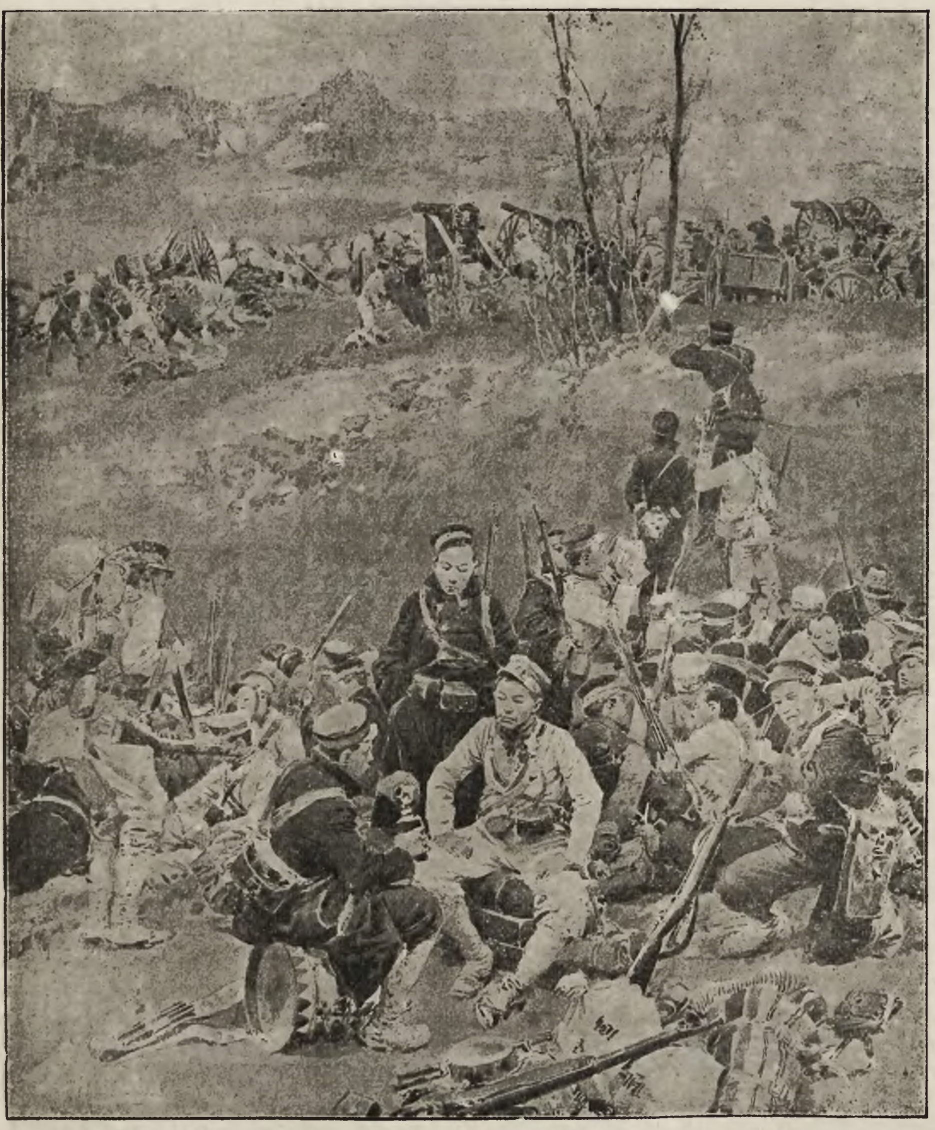
W Rosyi wogóle bardzo sceptycznie zapatrują się fachowcy na przyszłą kampanię. Ogólne jest mniemanie, że nawet zwycięstwo Rożdiestwieńskiego, w którym rząd carski tak wielkie pokłada nadzieje, nie zmiejszy zupełnie szans Oyamy. Marszałek Oyama ma bowiem zawsze do rozporządzenia linię Fuzan-Saseho, którą to przestrzeń średnio szybkie parowce japońskie mogą przebywać w ciągu ośmiu godzin, tak, że zdołają się zawsze wymknąć patrolującym krążownikom rosyjskim.

Gdyby zaś Rożdiestwieński zechciał blokować jeden z portów japońskich, Fazan lub Mozampo, co z góry już należy uważać za niewykonalne ze względu na wielką, bo 520 mil, odległość tych fortów od Władywostoku, który byłby punktem oparcia, podstawą operacyjną dla floty Rożdiestwieńskiego, to zawsze jeszcze pozostaje Oyamie linia Nagasaki-Dalny, albo Nagasaki-Inkou. Drogi tej, bronionej przez ufortyfikowaną wyspę Quelpart, a odległej od Władywostoku o 800 mil, krążowniki rosyjskie przeciąćby nie mogły, ponieważ ciągle groziłoby im niebezpieczeństwo spotkania się z przeważającą liczbą nieprzyjacielskich krążowników, a pancerniki wogóle nie byłyby w stanie przez czas dłuższy tak daleko od podstawy na pełnem morzu przebywać. W ten sposób marszałek Oyama miałby zawsze jeszcze zabezpieczone tyły, zapewniony dowóz posiłków, broni i żywności.

Działania strategiczne w Mandżuryi już się rozpoczęły. Niezadługo, jak możemy przypuszczać, przyjdzie tam znowu, najprawdopodobniej gdzieś w okolicy Kirynu, do walnej rozprawy, do nowej bitwy lądowej. Będzie ona miała decydujący wpływ na dalsze losy wojny. Wykazaliśmy już poprzednio, że armia Liniewicza jest za słabą, by mogła powstrzymać zwycięski pochód Japończyków. W takim razie pozostaje Liniewiczowi jedynie rejterada do Charbinu. Ponieważ zaś armia japońska, należycie wypoczęta i rozgrzana ustawicznemi zwycięstwami nie będzie miała już do zwalczania trudności terenu, bo w lecie wszystkie drogi w Mandżuryi są suche i łatwe do przebycia, nie ulega wątpliwości, że marszałek Oyama wytęży wszystkie siły, by cofających się Rosyan zgnieść zupełnie. Gdyby jednak niedobitki tej armii zdołały jeszcze stawić jaki taki opór w Charbinie, to z nimi miał-



Z wojny ros.-jap.: Na pobojowisku nad rzeką Szak: Żołnierze japońscy zdobią groby poległych kolegów kwiatami.



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Żołnierze japońscy w czasie wypoczynku.

by Oyama nie dużo do roboty. Jeśli zaś Japończycy zajmą Charbin, to Rosyanie stracą jedyny jeszcze punkt oparcia w Mandżuryi, a co nadto, pozostawiają Władywostok zupełnie odcięty od łączności z Rosyą europejską.

Przygotowują się więc na lądzie działania o epokowej doniosłości. Wszystkie dane przemawiają na korzyść Japończyków. Możemy się więc spodziewać, że tego lata nad murami Charbinu zajaśnieje jeszcze sztandar wschodzącego słońca, że tryumfalny, acz krwawy, pochód Japończyków przez Mandżuryę, zaczęty od Portu Artura i rzeki Jalu, skończy się w Charbinie. A może wtedy rząd rosyjski straci ochotę do dalszego bezowocnego krwi rozlewu i położy koniec wojnie, która wstrząsła posadami carskiego tronu, wznieciła w całej Rosyi zarzewie rewolucyi, pokazała światu całemu gliniane nogi rosyjskiego kolosu, naraziła Rosyę na milionowe straty w pieniądzach i nie dające się ocenić straty, jakie spowodowała, nadszargawszy opinię, którą się to mocarstwo w Europie cieszyło. A trzeba zważyć, że operacye na lądzie idą prawie równolegle z operacyami na morzu, gdzie również przygotowują się wypadki dziejowej doniosłości

Zwróćmy jednak uwagę na inną jeszcze rzecz, która w ostatnich dniach zaprzątała umysły dyplomatów i wszystkich, śledzących wypadki w obecnej wojnie.

Pisaliśmy już poprzednio o niebezpiecznym zatargu Francyi z Japonią, spowodowanem zbyt długiem przebywaniem Rożdiestwieńskiego na wodach francuskich. Zatarg ten zaostrzył się bardzo silnie i jedynie dzięki dyplomacyi państw bezstronnych udało się uniknąć kolizyi, która mogła i dla Francyi i dla Japonii tembardziej, mieć bardzo poważne następstwa.

Według przekonania Japonii wyjazd floty bałtyckiej na Daleki Wschód mógł być przedsięwzięty wogóle tylko po zawarciu szczegółowej i przewidującej wszystkie ewentualności umowy Rosyi z rządem francuskim. Na przedstawienia Japonii rząd francuski dawał odpowiedzi wymijające i dopiero w kwietniu złożył oświadczenie, że będzie ściśle przestrzegał neutralności; przypuszczenie to jednakże zostało natychmiast złamane, Rożdiestwieńskiemu bowiem pozwolono używać wód francuskich za podstawę operacyjną. Ten stan rzeczy, jak raz oświadczył poseł japoński w Londynie, Hayaszi, uzasadniał roszczenia rządu japońskiego stosownie do treści traktatu przymierza angielsko-japońskiego, aby domagać się od Anglii zbrojnej pomocy przeciw Francyi. Że Japonia tego nie zrobiła to zawdzięczać należy temu, że Rożdiestwieński opuścił wody francuskie i w ten sposób konflikt załagodzono.

Nie od rzeczy będzie jednak przypatrzyć się, jak wygląda to przymierze Anglii z Japonią, w obecnej zwłaszcza wojnie tak wielką odgrywające rolę. Dlatego podajemy poniżej osnowę przymierza, jakie stanęło między Anglią a Japonią 30 stycznia 1903 roku. Osnowę tego przymierza ogłoszono dnia 19 lutego tegoż roku.

Według brzmienia układu — oba rządy są ożywione życzeniem utrzymania w Azyi wschodniej dotychczasowego stanu rzeczy i powszechnego pokoju, jakoteż niezawisłości tudzież całości Chin i Korei. Dlatego też postanowiły: 1) Przedsięwziąć środki dla zabezpieczenia własnych interesów na wypadek, gdyby im groziło niebezpieczeństwo, bądź skutkiem zaczepnego wystąpienia innego mocarstwa, bądź w następstwie niepokojów w Chinach, albo w Korei, co zmusiłoby jednę ze stron traktatowych do interwencyi dla ochrony własnych obywateli. 2) Gdyby jedno z państw traktatowych zostało zawikłanem w wojnę z jakiemś innem państwem, to drugie państwo traktatowe zachowa jak najściślejszą neutralność i będzie się starało zapobiedz, by inne mocarstwa nie wzięły udziału w krokach wojennych przeciwko sprzymierzeńcowi. 4) Jeżeli jakieś mocarstwo przyłączy się do kroków wojennych przeciw temu sprzymierzeńcowi, to w takim razie drugie państwo traktatowe pospieszy mu z pomocą, będzie razem z nim prowadziło wojnę i zawrze pokój tylko po wzajemnem porozumieniu się i za zgodą sprzymierzeńca. 4) Obie strony traktatowe postanawiają zgodnie, że żadna z nich, bez zapytania drugiej, nie będzie zawierała osobnych układów z innem państwem ku szkodzie wyż wymienionych interesów. 5) Jeżeli powyżej wymienionym interesom będzie groziło niebezpieczeństwo, to w takim razie oba państwa wzajemnie się o tem powiadomią w sposób obszerny i szczery. 6) Traktat zyskuje natychmiast moc obowiązującą i zachowa ją w ciągu 5 lat następnych. Gdyby jednak w ciągu tych pięciu lat jedno z państw traktatowych zostało zawikłane w wojnę, w chwili, gdy nadchodzi termin wygaśnięcia umowy, to pozostanie ona ważną aż do czasu zawarcia pokoju.

Tak brzmi układ angielsko-japoński. Jak widzimy, Japonia ma w Anglii sojusznika, który obowiązany jest w krytycznej chwili przyjść jej z pomocą. A sojusznik to silny i mający prawie wszystkie morza w swych rękach.

Zapowiadana od kilku tygodni bitwa morska między eskadrą admirała Togo a złączonymi flotami Rożdiestwieńskiego i Nebogatowa jeszcze się nie odbyła.

Marynarze fachowi nie zapowiadali bitwy tak wcześnie nigdy. Przedewszystkiem nieznajomość zupełna miejsca, gdzie się ukryła japońska eskadra, nasunęła im przypuszczenie, że sił japońskich zgoła przy Formozie niema. Twierdzili oni, że flota admirała Togo od początku maja trzyma się wód japońskich i czeka na nadpłynięcie Rożdiestwieńskiego w okolice cieśniny Tsugari. Manewrowanie Rożdiestwieńskiego na wodach anamskich tłómaczą zaś fachowcy tem, że w ten sposób chce Rożdiestwieński zwabić flotę japońską ku południowi. Na morzu południowo-chińskiem obie eskadry, i japońska i rosyjska, pozbawione by były podstawy operacyjnej, więc



Z wojny ros.-jap.: Żołnierze japońscy szukają rannych na moczarach, gdzie niedawno odbyła się bitwa.

walka dla Rosyan byłaby łatwiejszą. Prawdopodobnie liczył też Rożdiestwieński i na to, że uda mu się wtedy wyminąć Toga i zostawiwszy go za sobą w tyle, dopłynąć bez walki do Władywostoku, połączyć się z tamtejszymi krążownikami i potem, wyzyskując już miejscowe środki pomocnicze, prowadzić wojnę wśród zupełnie nowych warunków. Ale przypuszczenia to zbyt nieprawdopodobne i zbyt daleko idące.

Więcej słuszności zdaje się mieć twierdzenie, że Rożdiestwieński, połączywszy się z eskadrą Nebogatowa, umyślnie manewrował po morzu chińskiem, a to w tym celu, aby obie floty, jego i Nebogatowa, mające stanowić teraz jedną bojową jednostkę, mogły dopasować się do siebie, zgrać się ze sobą. Rożdiestwieński chciał się zresztą dowiedzieć, co warte są otrzymane przezeń okręty i ich załogi i jak ich będzie można użyć w bitwie. Z przybyciem bowiem eskadry Nebogatowa, musiał się zmienić cały szyk bitwy i trzeba było ułożyć nowy, na co trzeba było więcej czasu.

Eskadra Nebogatowa, która, jak wspomnieliśmy, już się połączyła z eskadrą Rożdiestwieńskiego, składa się: z 1 pancernika wieżowego i 2 pancerników, przeznaczonych pierwotnie do obrony wybrzeży, oraz kilku okrętów transportowych i technicznych. Pancernik wieżowy „Imperator Mikołaj I“ był zbudowany jeszcze w roku 1886 nie odpowiada więc już wymaganiom nowoczesnym. Jest on zaopatrzonym w dwa działa 30 centymetrowe, 4 działa 20 centymetrowe, 8 dział 15 centymetrowych i 5 dział 5-centymetrowych. Pancerniki do obrony wybrzeży pochodzą z roku 1894, 1896 i 1899 i równają się pod względem siły bojowej tylko wielkim łodziom działowym, kanonierkom. Słowem, eskadra Nebogatowa przedstawia pod względem bojowym siłę jednego pancernika drugorzędnego i trzech trzeciorzędnych. Mimo to jej ciężka artylerya może w bitwie znacznie zaważyć na szali na korzyść Rosyan.

Rozpatrując sytuacyę na morzu przed bitwą możemy przypuścić, że operacye morskie mogą dać wynik trojakiego rodzaju. Przedewszystkiem więc wynik dla Rosyan najpomyślniejszy: flota rosyjska wychodzi z bitwy zwycięsko, zatapia i uszkadza znaczną część okrętów japońskich. Przypuściwszy, że tak było, nie można jednak jeszcze mówić o zupełnem złamaniu morskiej potęgi japońskiej i o odzyskaniu panowania nad morzem. Japonia bowiem posiada mnóstwo torpedowców, stanowiących potężną siłę; chcąc zostać panami tej części morza, na której leży główna linia komunikacyjna Japonii z Koreą, musieliby Rosyanie złamać jeszcze i tę siłę, co byłoby bardzo trudną, jeżeli nie niemożliwą rzeczą.

Będzie to zatem, mimo odniesionego zwycięstwa, wątpliwe tylko panowanie nad morzem, które Rosyanie będą mogli wyzyskać tylko w jednym kierunku, a mianowicie przez dokonywanie śmiałych wycieczek krążowniczych w celu zagrożenia linii komunikacyjnych japońskich nietylko z Koreą i półwyspem Liaotuńskim, ale i z resztą świata. Ba, ale taka wojna może i musi się ciągnąć w nieskończoność; skończyć się ona może dopiero wówczas, gdy z jednej strony wyczerpią się zapasy armii japońskiej w Mandżuryi, a z drugiej środki pieniężne wewnątrz kraju, skutkiem braku wszelkiego dowozu.

Możliwe jest jednak, że celem Rożdiestwieńskiego jest tylko dostać się do Władywostoku bez stoczenia walnej bitwy po drodze i że cel ten uda mu się osiągnąć. Wówczas obie floty, japońska i rosyjska, starać się będą przygotować jak najkorzystniejszy grunt do walnej bitwy o panowanie nad morzem. Rożdiestwieński prawdopodobnie będzie się ze stoczeniem bitwy tej ociągał jak najdłużej, w oczekiwaniu posiłków z Europy. To byłaby druga ewentualność.

Może być wreszcie, że wynik bitwy przy przejściu eskadry rosyjskiej do Władywostoku okaże się dla niej niepomyślny i do portu dotrą tylko poszczególne okręty, nie zadawszy flocie japońskiej poważniejszych strat. Wytworzy się wówczas położenie takie same, jakie było w Porcie-Artura, to znaczy, że flota rosyjska zamknięta zostanie we Władywostoku, a więc nadzieja odzyskania panowania nad morzem stracona, o ile z Europy nowe nie nadejdą posiłki, któreby nie tylko dorównały, ale przewyższały flotę japońską. To już iluzya w wyższym stopniu. Rosya bowiem nie posiada już na morzu Bałtyckiem żadnych okrętów, z wyjątkiem budujących się kilku, które w najlepszym razie gotowe być mogą dopiero za rok. Chyba, że Rosya wprowadziłaby flotę czarnomorską, albo zakupiła okręty za granicą, co jednak mogłaby uczynić tylko w ostatecznym razie, bo oba te środki mogą wywołać zawikłania międzynarodowe. Ale też z drugiej strony bez użycia tych środków dalsze prowadzenie wojny byłoby niemożliwe, budowa bowiem nowych okrętów potrwa tak długo, że przez ten czas i Japończycy potrafią dokończyć budowy rozpoczętych już obecnie okrętów i będą znowu silniejsi. A przytem Władywostok może się nie utrzymać do tego czasu, a wówczas o prowadzeniu morskiej wojny Rosya marzyć nawet nie może.

Nie wesołe te ewentualności. Widać z nich jasno, jak poważne następstwa pociągnie za sobą spotkanie się admirała Togo z Rożdiestwieńskim i że bitwa między nimi będzie punktem kulminacyjnym w obecnej wojnie.

I znowu w chwili, w której świat cały patrzy z naprężeniem na wody Oceanu Spokojnego, wyczekując niecierpliwie wiadomości o bitwie, w prasie zagranicznej, zwłaszcza amerykańskiej, zaczynają się, jak zwykle w takich chwilach, pojawiać pogłoski o rozpoczęciu rokowań pokojowych między Rosyą a Japonią. — Pogłoski takie pojawiają się zresztą sporadycznie w chwilach najbardziej skupiających uwagę całego świata. Po większej części źródła ich szukać należy na wielkich giełdach, gdzie nieraz panowie giełdziarze puszczają w świat kaczki, jakichby się nie powstydzili redaktorzy najbardziej za senzacyą goniących dzienników. Zbyt długie wahanie się Rożdiestwieńskiego i nie puszczanie się jego w dalszą drogę na Wschód, ale uporczywe manewrowanie jego na wodach południowo-chińskich, któreśmy poprzednio starali się wytłómaczyć, naprowadziło redaktorów pewnych pism angielskich na myśl, że to wahanie się spowodowane było rzekomemi rokowaniami pokojowemi. Rokowania te miały zostać podjęte za sprawą kół finansowych, ale rozbić się miały podobno o opór wielkich książąt rosyjskich którzy jak jeden mąż sprzeciwili się stanowczo nawet minimalnym żądaniom japońskim.

Pogłoskom tym zaprzeczono stanowczo w Japonii. Japonia bowiem, jak obecnie przynajmniej, uważa się za zwycięzcę i ani myśli o pokoju. I nic dziwnego. Na lądzie jak i na morzu odnosiła jedno zwycięstwo za drugiem, jedno od drugiego świetniejsze, po ośmiomiesięcznem oblężeniu zdobyła



Z wojny ros.-jap.: Żołnierze japońscy wydobywają żyjącego jeszcze towarzysza z wilczego dołu.



Z wojny ros.-jap.: Głównodowodzący armii rosyjskiej generał Liniewicz w swej kwaterze.

najważniejszą twierdzę rosyjską na Wschodzie, Port-Artura, wyparła Rosyan aż poza Mukden, zawładnęła prawie całą Mandżuryą, podczas gdy Rosyanie nie dokonali niczego — z wyjątkiem... cofania się w porządku, co wprawdzie również było sztuką, ale nie tak wielką, jak ta, której dokonali Japończycy.

Wobec tego więc, że wszystkie działania wojenne Japonii od samego wybuchu wojny do dziś dnia, uwieńczone były stale najzupełniejszym powodzeniem, nie możemy przypuszczać, żeby Japonia teraz chciała się zgodzić na warunki pokoju, jakie jej podyktuje Rosya. Owszem według powszechnej opinii całego świata Japonia ma właśnie prawo dyktować warunki pokoju, a może je podyktować takie, jakie będą odpowiadać jej stanowisku, które sobie wywalczyła.

Znając zaś krótkowidztwo polityczne i zupełną nieudolność rządzącej kamaryli dworskiej w Petersburgu, możemy śmiało przypuszczać, że Rosya nie zgodzi się na takie warunki pokoju, jakie jej Japonia zaproponuje. Wojna więc toczyć się będzie dalej i nie ustanie, chyba wtedy, kiedy cała ludność rosyjska, kiedy wszyscy w całej Rosyi powstaną przeciw wojnie, pożerającej miliony w pieniądzach i krocie tysięcy młodych żywiołów ludzkich, kiedy kamaryla dworska z niedołężnym carem na czele musi ustąpić przed wolą narodu, to znaczy wtedy, gdy rewolucya obejmie całą Rosyę. A, że do tego także już niedaleko, więc jest nadzieja, że wojna skończy się niezadługo. Przewidywać jednak nie możemy niczego.

* * *

W numerze dzisiejszym zamieszczamy szereg rycin, ilustrujących obecne położenie na polu walki w Mandżuryi. Między innemi podajemy fotografię generała Liniewicza, obecnie głównodowodzącego armii rosyjskiej w Mandżuryi, zdjętą w jego głównej kwaterze. Generał Liniewicz, o którego działalności jużeśmy w poprzednim numerze pisali, okazał rzeczywiście nadzwyczajny spryt i talent strategiczny, zdoławszy w krótkim stosunkowo czasie przyprowadzić do porządku i zreorganizować rozbitą i zdemoralizowaną strasznym wynikiem bitwy mukdeńskiej armię, jaką mu powierzono po odwołaniu Kuropatkina ze stanowiska głównodowodzącego. Czy jednak uda mu się natchnąć tę armię nowym duchem, czy potrafi z nią już nie zwyciężać, ale przynajmniej stawiać opór i nie cofać się — wątpimy. Zbyt ta armia jest zdemoralizowana, nie mówiąc już, że liczebnie jest znacznie słabsza od japońskiej, posiłki zaś, które nadejdą jeszcze z Europy, nie przedstawiają bynajmniej materyału na dzielnych żołnierzy. Te szeregi, które w ostatnich miesiącach zmobilizowano, to szeregi zarażone rewolucyą, nienawidzące rządu, a z nim razem i nieszczęsnej wojny. O tem, żeby oni mieli naprawiać zaszargany honor armii rosyjskiej, niema co marzyć.

Dwie ilustracye przedstawiają smutne obrazki z pod Mukdenu i z nad rzeki Szak. Na jednej z nich widzimy japońskich piechurów, wydobywających z wilczego dołu nieprzytomnego, ale żyjącego jeszcze towarzysza. Na drugiej zaś widać na olbrzymiem, po większej części wodą zalanem, trzęsawisku żołnierzy japońskich, zajętych wyszukiwaniem rannych kolegów. Przebrzmiały już echa dział, Rosyanie uciekli na północ, pozostawiwszy za sobą stosy trupów swoich i Japończyków. Japończycy teraz zajęli się pochowaniem zabitych. Ale między zabitymi znajduje się jeszcze dużo takich, którzy dają jeszcze znaki życia, w których tli się jeszcze skra życia. A ilu to rannych zawlekło się w czasie walki poza teren bitwy i leży gdzieś na uboczu, mrąc z pragnienia i wyczekując ratunku, a nie mając sił, aby się podnieść, aby krzyknąć i zawołać o pomoc. Za nimi właśnie udali się koledzy. Przeszukują trzęsawiska, zaglądają do każdego rowu, badają każdy krzak, bo tam może leży jeden z ich towarzyszy, który za godzinę, dwie, umrze, jeśli nie otrzyma pomocy.

Miejsca najświetniejszych zwycięstw, opromienione aureolą chwały, przedstawiają się obecnie bardzo smutno. Są to pobojowiska, zapełnione mogiłami, w których śpią wiecznie zwycięzcy i zwyciężeni obok siebie, cmentarze ogromne. Na rycinie naszej widać pobojowisko nad rzeką Szak. Na mogiłkach, wznoszących się jedna obok drugiej, widać słupy, pokryte dziwnemi jakiemiś napisami. To nagrobki, skromne pomniki na grobach bohaterów japońskich. Towarzysze, jeszcze pozostali przy życiu, ozdabiają te groby kwiatami. Skromne białe kwiecie kwitnąć będzie na mogiłach bohaterów, z których każdy prawie godzien pomnika ze spiżu. Synowie kraju wschodzącego słońca i czerwonej wiśni gardzą spiżem. Im milsze białe kwiecie, lub drzewko wiśni, na grobie zasadzone. To dla nich pomnik najpiękniejszy i najgodniejszy bohatera.

Pozostałe dwie ryciny przedstawiają obrazki z obecnego życia Japończyków, na północ od Mukdenu i Tielinu w przeddzień nowej bitwy. Na jednej widzimy żołnierzy, odpoczywających po trudach, zajętych wesołą pogwarką na temat wojny i ucieczki Moskali. Gdzieniegdzie odezwie się tęskny śpiew żołnierza, dumającego o pozostałej w ojczyźnie rodzinie, ale zagłusza go w krótce skoczna śpiewka, nucona przez towarzyszy. Zwycięzcy dotychczas zawsze, bawią się. Na drugiej rycinie widać pikietę japońską obserwującą z ukrycia ruchy rekonensansów moskiewskich.

KRONIKA LWOWSKA.

Wspomnienie pośmiertne. — Oświadczenie dyr. Pawlikowskiego. — Solski w oblężeniu. Nowości teatralne.—Kurz.— Lwowskie przyjemności. — Festyny. — Wyjazd prez. Małachowskiego. — Pomiar dzieci w tramwajach. — Nadmiar oświaty. — Szach perski w Galicyi.

W ubiegłym tygodniu pochowano Kazimierza Mokłowskiego. Mokłowski należał do tych rzadkich ludzi, który siłą swego geniusza przebijają się przez świat, nie zważając na żadne przeszkody.

Rewolucyonista w najszlachetniejszem znaczeniu, za swoje przekonania relegowany z techniki lwowskiej, udaje się za granicę dla kończenia studyów. Wraca potem do kraju bogaty w wiedzę i doświadczenie, pracuje na polu społecznem, które stało się jego drugim zawodem, jest jako taki jednym z najczynniejszych członków partyi socyalistycznej i świadomie naraża się na niechęć „z góry".

Pracowity z zamiłowania przepracowywał się często, czego wynikiem była długotrwała i ciężka choroba. Zmuszony z tego powodu cofnąć się z działalności agitacyjnej w zacisze domowe oddaje się skrzętnej pracy nad szukaniem dróg dla sztuki rodzimej. Owocem tej pracy jest wiekopomne dzieło jego pt. „Sztuka ludowa w Polsce", w którem pierwszy dał hasło samodzielności narodowej w architekturze. O wysokiej wartości tego dzieła świadczy dość fakt, że stańczykowska Akademia umiejętności nagrodziła dzieło socyalisty... Gdzieindziej nie byłoby to może dziwnem, ale u nas...

Niektóre budowle (np. szpital im. Lazarusa) wykonane według jego planów, stanowią ozdobę miasta — i mają wielką wartość architektoniczną. Lecz praca i talent nie są wszystkiem — powiadają nasze władze, nasi „miarodajni", a za nimi inni. I oto człowiek tej miary co Mokłowski pomimo swoich wybitnych i uznanych zdolności musiał z wielkim trudem przebijać się przez życie, bo przy oddawaniu robót stale go pomijano... Wdzięczne społeczeństwo... Inteligentne społeczeństwo dwudziestego wieku...

Szermierz wolności i filar nauki uległ długiej chorobie w 35 roku życia. Tysiączne tłumy odprowadziły go do grobu... Cześć jego pamięci!...

Wielką niespodzianką było znane oświadczenie dyrektora Pawlikowskiego, że o Krakowie ani myśli... Był to zimny prysznic na rozgorączkowaną fantazyę rozmaitych kombinatorów, co i jak będzie, gdy Pawlikowski przeniesie się do Krakowa. Wszystkie plany i domysły rozwiały się w nic. Takie są skutki małomowności dyr. Pawlikowskiego, który pozwalał długo mówić i kombinować, a odezwał się dopiero, gdy zatrzęśli jego fotelem. I byłby się może jeszcze nie odezwał, ale chodziło już o Solskiego, którego chciano zrobić manekinem. Oświadczenie p. Pawlikowskiego grubo zmieniło sytuacyę na korzyść obu teatrów i obu dyrektorów. Solski w ciągłem oblężeniu. Aktorzy i aktorki z całej prowincyi zjeżdżają się do Lwowa, ażeby się dostać do teatru Solskiego. Tymczasem Solski skompletował już prawie swoją drużynę. To też Lwów zaroił się od prowincyonalnych szepleniących tragików, siedmdziesięcioletnich „naiwnych", dziesięcioletnich „matek dramatycznych", głuchoniemych suflerów, zachrypniętych tenorów, kulawych baletmistrzów, garbatych amantów i łysych bohaterek, a u Solskich nie zamykają się drzwi. Oczywiście, nadarmo.

Teatr wystawił kilka nowości, z których najwięcej podobało się „Śledztwo" z Chmielińskim w głównej roli. Artysta ten grał ją po mistrzowsku. Operetka wystawiła „Taksator", którego niebawem ujrzycie w Krakowie, dokąd nasza operetka zjeżdża w czerwcu wraz z chórem i tak zwanym baletem. Siemaszkowa opuściła Lwów, a teatr ogląda się za nowym gościnnym występem, bez którego w lecie teatr obejść się nie może. Taka Siemaszkowa, Kamiński, Żelazowski stanowią niejako „Towarzystwo ratunkowe" dla teatru w sezonie bryndzy majowej i spacerów na świeżem, kurzem i miazmatami przesiąkniętem, powietrzu.

O ile deszcz nie pokropi, a wiatr nie zamiecie naszych ulic, można się we Lwowie tanim sposobem udusić, do czego zdaniem znawców wystarcza wyjść na ulicę Karola Ludwika i zabawić tam godzinę.

Tosamo dotyczy naszych ogrodów i parków, gdzie nasze piękne panie pozwalają swobodnie wytchnąć nie tylko swoim płucom, ale i swoim trenom, wypuszczając je z rąk i wzbijając w ten oryginalny sposób tumany kurzu.

Natomiast pozbędziemy się już tak częstych dotąd festynów, które zamykały parki dla szerszej publiczności przeważnie w niedziele. Uprzyjemnienie to oddtąd przynajmniej o wiele rzadziej naprzykrzać się będzie publiczności biedniejszej. A taki festyn z staremi niespodziankami, z loteryą fantową, na której można przy jakiem takiem szczęściu wygrać tuzin guzików, drewnianą cygarniczkę lub szelki, z tą bardzo zabawną tombolą, z bardzo oryginalnem confetti, z ogniami sztucznemi wiecznie zepsutemi i puszczaniem „żywego balonu" — to przecież coś rozpaczliwie głupiego, co powinno raz na zawsze zniknąć i ustąpić miejsca zabawowym sportom.

Prezydent Małachowski zdecydowany jest osierocić stolicę i kraj cały. Wkrótce bowiem ma przenieść się na stałe do Wiednia, gdzie otwiera kancelaryę adwokacką. Niewdzięczność strzelnicy, która z niego korzystała, ile było można, liczne niepowodzenia i ujadania dzienników, skłoniły prezydenta do tego kroku. Inaczej być nie mogło. Wszystko razem złożyło się na to, żeby p. Małachowski kopnął swoim prezydenckim obcasem cały Lwów razem z Michalskim, szafą prezydyalną i woźnym Muzyką. Dzienniki życzą mu szczęśliwej podróży, poświęcając rzewne nekrologi jego prezydenturze.

Nowością będzie u nas teraz pomiar dzieci w tramwaju elektrycznym. Chodzi o to, za które dzieci należy opłacać bilet jazdy. Magistrat odpowiada na to, że to zależy od... długości. Dzieci poniżej metra nie płacą za jazdę tramwajową, „dłuższe", płacą. Jest to zdaniem tutejszych społeczników ucisk chudych, a drugich dzieci dyurnistów i urzędników kolejowych, a forytowanie grubych, pękatych, a niskich dzieci radnych i bankierów. Hańba!

Z obawy, ażeby oświata nie zalała nas po uszy, nie chce rząd zgodzić się na utworzenie paralelek tut. seminaryum. Na kilkaset zgłaszających się kandydatek przyjmuje się zaledwie sześćdziesiąt, a rząd twierdzi, że mu to zupełnie wystarcza. Jak zawsze, tak i w tym wypadku rząd czyni to wyłącznie w interesie mieszkańców, którym taka hiperprodukcya oświaty na szkodę wyjść może. Szkoda, że zdania tego ze względów na względy dokończyć nie mogę, ale dowcipny czytelnik dopowie sobie sam resztę.

Ostatnią na dziś nowością jest przejazd szacha perskiego — jeśli się nie mylę — Muzafer Eina przez Galicyę, którego spodziewamy się z początkiem czerwca. Pokrewni mu kulturą niektórzy rajcy miasta mają go powitać na dworcu. Szkoda tylko, że z powodu pośpiechu nie będzie mógł wstąpić do naszego grodu, ażebyśmy mu pokazali niektóre osobliwości. On tego pewnie nawet w swojem państwie nie widział.

Słówko o sylwetkach teatralnych.

Z powodu, że sylwetki teatralne drukujące się w naszem piśmie bywają dość często rozmaicie komentowane w szerokich kołach naszych czytelników i to czasem nawet z ujmą dla wysokiej wartości artysty, widzimy się z niewoleni dać kilka słów wyjaśnienia.

Nie są to bynajmniej biografie artystów z dokładną oceny ich wartości scenicznej, a tylko — jak je z początku nazywaliśmy — „migawki", szkice, bluetki' których zadaniem jest w kilku rysach najważniejszych naszkicować główne zalety artysty i jego znaczenie na polskiej scenie. Nie są to więc wyczerpujące monografie ani nawet życiorysy i nie roszczą sobie pretensyi do tych tytułów. Rzecz prosta, że nie możemy się wdawać w szczegóły, a musimy się ograniczyć do kilku ciekawszych rysów. Artysta, który trzydzieści lat pracuje na scenie zasługuje niewątpliwie na obszerniejszą sylwetkę, atoli brak miejsca nie pozwala nam na to.

W sylwetce p. Władysława Woleńskiego wyrządziliśmy mimowoli krzywdę temu znakomitemu artyście nazywając go nestorem i emerytem. We Lwowie są starsi artyści więc p. Woleński nestorem jeszcze nie jest, tem bardziej, że obdarzony niezwykłym temperamentem i obszerną skalą oraz siłą głosu, morze przy znanym swoim talencie grać jeszcze długo i wydatnie.

Pan Woleński, liczy bowiem lat około 55 — a więc w takim np. Wiedniu byłby jeszcze nawet młodym... Już to przyznać trzeba, że we Wiedniu, lub w ogóle za granicą los starszych artystów jest zupełnie odmienny, aniżeli u nas Wiedeń nie przestaje zachwycać się swoim Hartmanem, Lewińskim, Sonnenthalem, Baumeistrem, pomimo, że dawno przekroczyli siedmdziesiątkę, a każdy ich występ jest prawdziwem świętem w teatrze. Szanuje ich dyrekcya, poważa pubiczność i prasa, wzorują się na nich młodzi artyści... U nas inaczej. Starszych spycha się na drugi plan, jeżeli nie na dalszy, lub ostatni, publiczność zapomina o nich, prasa — jeśli im nie jest całkiem niechętna, to przynajmniej nigdy nie ujmie się za nimi, a przechodzi nad nimi do porządku dziennego. Ot, jak w... Azyi, choć może tem lepiej... I taki Woleński np. pojawia się dziś na scenie kilka razy w roku... To ironia... Pan Woleński jest artystą rozmiłowanym w rozmowie ze mną wspominał, że praca i ciągłe dążenie do postępu jest potrzebą duszy artysty, bez niej nie może być szczęśliwym, nie może żyć“...

To odpowiedź wielce szlachetna i rozczulająca. A tu pracować mu nie dają...

Sprawa z emeryturą przedstawia się również inaczej. Emeryturę pobiera już we Lwowie dwóch artystów, w Krakowie jeden, a pobierać będzie wkrótce jesze dwóch artystów, a jednak są nadal czynni na scenie i będą nadal pracować wydatnie. Śp. Aszpergerowa np. rozpoczęła już pobierać emeryturę w r. 1855. a zeszła ze sceny dopiero w roku 1890, a więc dopiero w 25 lat później.

Ponadto najwyższa emerytura wynosi 100 złr. miesięcznie tj. według wymiaru z r. 1860, kiedy to najwyższa płaca pierwszego artysty wynosiła 100 złr. Dziś jest ten wymiar nie stosunkowo niskim, gdzie gaże artystów się podwoiły, a nawet potroiły, a artykuły utrzymania również. Więc i z tego tytułu muszą t. zw. emeryci teatralni nadal pracować na scenie co jest tem więcej pożądanem gdy posiadają warunki sceniczne i talent. Wszak Koźmian w swej książce „Rzeczy teatralne“ zaleca gorąco dyrekcyom, by starą gwardę trzymać i często używać na scenie, ażeby młodzi na ich wzorach się kształcili.

To też dzieje się to ze szkodą nie tylko dla sceny lwowskiej, ale nadewszystko z wielką krzywdą dla samego tak bardzo zasłużonego i inteligentnego artysty skoro reżyserya nasza p. Woleńskiego zaniedbuje. Miejmy nadzieję, że dyrektor Pawlikowski, zaopiekuje się panem Woleńskim i postara się ażeby „potrzeba jego duszy“ znajdywała częsty pokarm na scenie, bez którego żaden artysta naprawdę żyć nie morze.



Anna Gostyńska.

Anna Gostyńska.

„Lwów ma swoje pr wdziwe perły“ — mówił mi jeden z tutejszych znawców teatralnych, kiedyśmy mówili o pani Gostyńskiej.

Pani Gostyńska jest dziś nietylko największą i najlepszą reprezentantką ról charakterystycznych w całej Polsce, ale — zdaniem znawców — jest jedną z największych w Europie.

Do Lwowa przybyła pani Gostyńska z Królestwa w r. 1880 za Dobrzańskiego. Z „komicznych“ przeszła potem do „dramatycznych“, tamtych oczywiście nie zaniedbując.

Tu miała jeszcze więcej pola do pópisu, bo olbrzymi jej talent miał doskonałą sposobność uwydatnić się w całym blasku. Nadzwyczajna siła i prawda cechują każdą jej postać i wywołują niekłamany zachwyt.

Pani Gostyńska ma tę nadzwyczajną zasługę, że jako jedna z pierwszych sprowadziła grę aktorską z jejonów imigracyi do bezwzględnej, codziennej, świetnie zaobserwowanej szczerości i prawdy. To też każda jej kreacya tętni życiem i prawdą nie z książki, romansu lub poematu, ale tem życiem z życia, z bruku z haty, z salonu... Artystka na scenie przestaje być sobą, a wciela się misternie w odtwarzaną postać przejmując niejako jej duszę... Co zaś do siły ekspresyi, to nie ma sobie chyba równej...

Wielka i świadoma praca postawiły panią Gostyńską w rzędzie pierwszych artystek i nic prócz talentu i pracy, bo znakomita nasza artystka zawdzięcza swoje wielkie stanowisko sobie samej, a nie wpływom ubocznym. To też cieszy się powszechnie poważaniem nietylko wśród licznej rzeszy artystów, ale i w całem mieście.

Jako taka może i powinna być wzorem dla całej młodszej generacyi artystek.

Żeby wyliczyć jej najlepsze role, trzebaby wyliczyć — wszystkie. Ostatnio widziałem ją jako matkę w „Córce Józia“ podziwiając ten wspaniały realizm, zwłaszcza w ostatnim akcie i tę piękną miarę artystyczną. Z poprzednich proponuje mi pamięć wymienić Babę Jagę w „Dzwonie zatopionym“, świetną rolę dewotki w „Safandułach“, Tykalską w „Panu Damazym“, Jowialską i matkę w „Balladynie“, którą po Aszpergerowej jedyna pani Gostyńska grać może prawdziwie godnie.

Poza sceną znana filantropka. Należy do wielu towarzystw dobroczynnych, niektórym nawet sama przewodzi jako założycielka. Na tem polu ma wiele zasług i cieszy się niezwykłym mirem. Szlachetne serce kazało jej kilkakrotnie głos zabrać publicznie w dziennikach w obronie niewinnie mordowanych ptasząt, używanych do „zdobienia“ damskich kapeluszy...

Bardzo inteligentna i oczytana zajmuje często głos także w sprawach obyczajowo-społecznych, a z dosadnych jej artykulików wieje pogodna filozofia sympatycznej myślicielki-artystki...

Lwów ma swoje perły. *Klewe*

GASTON CLOMNER.

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

5 (Ciąg dalszy).

Komisarz policyi zaprowadził ją najpierw do małej izdebki, w której mieściło się jego biuro, poczem, poprosiwszy Anglika, aby zatrzymał się w przedpokoju, posadził młode dziewczę na krzesłe i sam zabrał się do spisania protokołu; a czynił to z taką delikatnością, że Helena prawie nie uczuła, iż ma do czynienia z pruskim urzędnikiem.

Imię jej, nazwisko, wiek, data przybycia były komisarzowi dobrze znane, odczytał więc tylko to wszystko, a gdy Helena potwierdziła autentyczność dat skinieniem głowy, rozłożył przed nią cały szereg przedmiotów, znalezionych przy zmarłym, w których dziewczę odrazu poznało własność swego ojca, złoty zegarek, brylantowy pierścionek, szpilkę do krawata, wysadzaną drogiemi kamieniami i skromną złotą obrączkę, którą kapłan przed dwudziestu laty włożył na palec ojca, gdy brał ślub z jej matką.

Wszystko to komisarz rozłożył przed młodą dziewczyną, ale najważniejszą rzecz, portfel zmarłego, dobył dopiero na końcu i pokazując go, zapytał poważnie:

— Czy ten portfel uznaje pani także za własność swego ojca?

— Tak!

— A czy mogłaby mi pani dokładnie powiedzieć, co on zawierał wczoraj wieczorem?

Helena potrząsnęła głową.

— Wiem tylko — rzekła — że mój biedny ojciec, udając się w podróż, całą swą gotówkę trzymał w tym portfelu, ale czy i wczoraj, idąc do teatru, miał ją ze sobą, tego nie umiem powiedzieć!...

— Czy ojciec pani przed wyjazdem z Ameryki mieniał znaczniejszą sumę dolarów na banknoty niemieckie?...

— Tak! To sobie dobrze przypominam, bo zrobił to nawet w mojej obecności!...

— A jak wysoką mogła być ta suma?

— Ojciec otrzymał wówczas sześć banknotów po tysiąc marek!...

Komisarz otworzył portfel i wyjął zeń sześć przemokłych tysiączek.

— Toby się zgadzało! — szepnął — a czy zmarły nie ukrywał w tym portfelu jeszcze jakichś dokumentów?...

— Owszem! Ojciec nosił w nim jeszcze paczkę jakichś listów, czy papierów, które były związane na krzyż czerwoną tasiemeczką i te papiery strzegł bardzo pilnie. Gdym go się raz zapytała, co one zawierają, powiedział, że mogą one mnie kiedyś przydać się bardzo, choć jego zdaniem, nie będzie chyba potrzeby robić z nich użytku!...

— Hm... hm... nie jest zatem wykluczone, że i komu innemu mogło także wiele zależeć na tych papierach?..

— Tego nie wiem! nie znałam przecież ich treści!...

— Można jednak chyba przypuścić, że tym razem zmarły schował te papiery gdzieindziej? Byłoby to przecież bardzo ciekawe, gdyby ktoś skradł te dokumenty, a inne, istotnie wartościowe przedmioty pozostawił! Gdy o tem się pomyśli, to trzeba przyjść mimowoli do przekonania, że nie mamy do czynienia ze zbrodnią, ale z nieszczęśliwym, godnym pożałowania i współczucia wypadkiem! Lecz może pani ma jakieś niepewności, panno Springer, może podejrzywa pani kogoś? Może ojciec pani mógł się obawiać jakiejś zemsty, może miał nieprzyjaciół, którzy w ten sposób przez jego śmierć chcieli zaspokoić swą nienawiść?...

— O, nie! — odpowiedziała stanowczo Helena — mój ojciec był najszlachetniejszym człowiekiem pod słońcem i nikogo nigdy nie skrzywdził. Przeciwnie! gdzie tylko mógł, tam robił każdemu dobrze i wszystkim chętnie spieszył z pomocą! A oprócz tego dwadzieścia sześć lat nie był w Europie i wątpię, czy miał w tem mieście chociaż jednego znajomego!...

— Dziękuję pani! a teraz jeszcze jedno pytanie. Czy ten Anglik, który pierwszy doniósł o zniknięciu ojca pani i który do ostatniej niemal chwili znajdował się w jego towarzystwie, oddawna zna się już z wami?

— Nie! poznaliśmy się z nim dopiero niedawno i to podczas podróży, na okręcie. Mister Parker wyświadczył nam dużo drobnych grzeczności, za które mój ojciec był mu wielce zobowiązany...

Komisarz nacisnął elektryczny dzwonek i do biura woźny wprowadził Anglika. Na zapytanie o imię i nazwisko, syn Albionu z całą obojętnością odpowiedział, że nazywa się Wiliam Parker i jest kupcem z Londynu, gdy zaś komisarz napomknął, że badany, jako obcokrajowiec, zeznania swe mógłby udokumentować papierami, bez wahania sięgnął do kieszeni i wyciągnął z portfelu cały plik papierów, zaopatrzonych w urzędowe pieczęcie.

Doświadczone oko urzędnika nie potrzebowało wiele czasu, aby przekonać się, że papiery Anglika są w zupełnym porządku. Z uprzejmym ukłonem wręczył więc mister Parkerowi po chwili jego dokumenty i rzekł wesoło:

Ciąg dalszy nastąpi.

FORTEPIAN CZY ŻONA?

HUMORESKA.

NAPISAŁ NIEMIRYCZ.

(Dokończenie).

— Teciu!... wyjdź! — rzuciła matka ulotne słowo, skinąwszy głową w stronę córki.

Dziewczę znikło w czeluściach ciemnej kuchenki.

— Tytusie! — podjęła na nowo — Tytusie! twoja córka dostała dziś rano...

— Co dostała?... spazmów, migreny? mów! — zawołał oficyał, wykraczając po raz trzeci przeciw zasadom systematyki, a to tytułem troskliwości ojcowskiej — dostała?...

— List miłosny! — odparła matka — o! nie mów nic! słyszysz? list!!! bez podpisu... ten list i ten młody nieznajomy, o! to ma jakiś związek!... Ty rozumiesz serce matki, posiadającej 25-letnią córkę, pojmujesz!... idź!... mów!... — pobłogosław im!...

Pan oficyał zoryentował się, poprawił na sobie szlafrok, spojrzał głęboko w oczy żony i rzekł głosem wzruszonym:

— Idę!...

ROZDZIAŁ IV.

W chwili, gdy w drzwiach salonu ukazał się oficyał, Klawiszewski skończył właśnie sonatę X-mol i wieszcze ręce opuścił na kolana.

— Panie! — zaczął uroczystym głosem gospodarz — wiadomym mi cel pańskich odwiedzin, o! ze mną możesz być szczerym, mów jak przed ojcem, moja córka...

— O! o! — przerwał niespokojnie muzyk — to i córeczka chce współdziałać w tym interesie?

— Tak! — odparł nieco zdziwiony urzędnik — mimo młodych lat nieczułą na tego rodzaju kwestye być nie może!

— Tylko się znów państwo bardzo nie drożcie, bo nie ma z czem ostatecznie! Pan wiesz sam najlepiej, ile to dla mnie może wartać!

— Panie! chuchałem na to! strzegłem, stroiłem — zapewniał ze łzami w oczach pan oficyał.

— Ach! rozumiem teraz!... pan **sam** stroiłeś? — bąknął muzyk tonem lekceważenia.

— Nie sam, panie dobrodzieju! nie sam! rozumiem przez to, że łożyłem koszta i to znaczne koszta na strojenie, rzeczą samą zajmowała się matka.

— Jaka matka?

— To jest — moja żona...

— Pańska żona jest matką?

— Matką mojej córki, nie mam powodu najmniejszego w to wątpić, bo czy pan wiesz, że nigdy! nigdy nie podejrzywałem jej uczciwości i wierności, a tak prawe pochodzenie mego dziecka żadnej kwestyi nie podpada! Przedstawię panu moją żonę!

— Więc i pani dobrodziejka jest w tem interesowaną? — tonem zdziwienia, lecz i zniechęcenia zauważył muzyk — dziękuję! możemy we dwójkę targu dobić, bylebyś pan trudnych warunków nie stawiał!

— Panie drogi! pan pojmujesz obawy starego urzędnika i ojca jedynej córki — rozpoczął na nowo z tonu lirycznego i z widocznem wzruszeniem pan oficyał — wybacz więc pytanie: masz-że dostateczne środki na przyzwoite utrzymanie tego naszego jedynego dobra na świecie? Będziemy u pana częstymi gośćmi, aby popatrzeć, pobłogosławić..

— Ależ pan przeceniasz wartość tego starego grata! — rzucił niecierpliwie Klawiszewski — na co odwiedziny, błogosławieństwa dla takiej bagatelki?

— Co? co? stary grat, bagatelka? co pan sobie myślisz, jak śmiesz mi w moim własnym domu podobną obelgę w twarz rzucać?

— Panie! nie rób się pan śmiesznym — odciął popędliwie artysta — to ma być obelga?

— Więc cóż? — podjął oficyał wzburzony — chciałeś mnie pan może od razu wypoliczkować?

Klawiszewski nie zdobył się już na odpowiedź, wybuchnął śmiechem tak niepohamowanym, a zarazem tak naturalnym, że biedny oficyał nie wiedział, czy ma z jakim waryatem do czynienia, czy sam jakie głupstwo palnął.

— Oj! panie! ta stara rozbita maszyna! ha! ha! ha! — krzyczał Klawiszewski wśród nieustającego śmiechu — z krzywemi nogami, deka bez oddźwięku, huknij pan tylko porządnie w nią pięścią, a rozleci się w kawałki... a co za tony! jak u dychawicznej szkapy! o! o! o!...

Tu już przebrała się miarka cierpliwości gospodarza. Przybrawszy urzędowy wyraz twarzy, odstąpił kilka kroków od zaśmiewającego się młodego człowieka i z całą systematycznością wskazujący palec prawej ręki skierował ku drzwiom, podczas gdy lewicą poprawiał okulary na nosie.

— O! nie! nie! — zawołał młodzieniec, zrozumiawszy snać ów ruch, lecz wybuchając ponownym śmiechem — powiedz pan jeszcze co, ja tak lubię, jak pan mówi!...

— Powiedzieć jeszcze co? — przedrzeźniał ze złością oficyał — więc powiem panu, że registratura pańskich zmysłów nie jest w porządku! Każdy fascykuł powinien mieć swoją koszulkę!... a moja córka...

— Posiada zapewne tę niezbędną zaletę porządnego fascykułu — zaryczał jeszcze donioślej muzyk — ależ u dyaska, co mi pan zawracasz głowę pańską córką i koszulkami?...

— A co to pan bredzisz o rozbitej maszynie, są to aluzye co najmniej niesmaczne! dość mi już tego!... a ten list, ten list ranniejszy? Ha! zdrajco! uwieść córkę c. k. oficyała t. z. sądowej Registratury? Niewinne, dwudziestopięcio-letnie dziewczę?!

Teraz zdumienie odbiło się na twarzy gościa.

— List do córki registratury!... panie! to mistyfikacya!...

— Rozmówmy się krótko — przerwał nieubłagany interlokutor — z jakiemi zamiarami wszedłeś bezwstydny rozpustniku w uczciwą bramę mego domu?

— Z jakiemi zamiarami, chytry starcze, wywiesiłeś na twojej uczciwej bramie kartkę o sprzedaży fortepianu? — brzmiała groźna odpowiedź.

Z koiei zdumiał się gospodarz.

— Fortepianu, powiadasz pan?!

— Fortepianu! mówię wyraźnie, alias tego starego klekotu, co stoi przedemną, a którego się pan nachwalić nie możesz, ale nie mnie brać na ptaszki i oświadczam panu kategorycznie, że fortepianu nie ku-pię! — podał do wiadomości osłupiałego gospodarza.

— Ależ panie! — podjął zmieszany — ja myślałem nie tego... ja mówiłem o...

— No! no! o czemżeś pan myślał? to będzie ciekawe usłyszeć.

— O mojej córce! dalibóg o córce — uniewinniał się — ale gdy pan żony nie potrzebujesz tylko fortepianu, to tam, tam nad nami na I piętrze jest fortepian do nabycia...

— A! saperlot! — zaklął półgłosem muzyk — przeklęte roztargnienie! pomyliłem się o całe piętro!... byłbym ładnie wdepnął... przepraszam... przepraszam najmocniej!

I pozbierawszy z krzeseł: cylinder, laseczkę i nuty w tysiącznych ukłonach sunął ku drzwiom. Będąc już w sieni, słyszał w pokoju tubalny głos oficyała:

— To nie on! to nie on!

— Tatku!... — zapiszczał cienki dyszkant.

— Tytusie!... — rzucił ktoś rozpaczliwy okrzyk.

ROZDZIAŁ V.

Klawiszewski fortepianu dotychczas nie kupił.

KONIEC.

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

ułożył W. K.

I.

Pierwszy jest symbolem żalu,
Bo łza przy nim zawsze płynie.
Wspak dwa ganią, albo chwalą...
Całość - postać w „Balladynie“.

II.

Kto zawsze *pierwszy wspak*: ostatnio przepędza,
Pewnie nań nigdy: nie *drugi-trzeci...*
I tego nie gniecie rozpaczliwa nędza,
Czyje *trzy-dwa...* blask złota oświeci:
Z jego pomocą: wszystko sią zwycięża!
Całość wydała genialnego męża.

Arytmogryf.

ułożył W. K.

		3	11	**9**	21	12		
		2	12	**2**	6	8		
		9	2	**6**	8	18		
	10	12	14	**12**	6	17	10	
		21	4	**9**	4	22		
		20	11	**5**	4	14		
		15	8	**14**	11	12		
		4	13	**8**	14	12		
		18	4	**15**	21	12		
		1	4	**3**	19	18		
			16	**19**	7			
9	2	4	10	**6**	19	2	10	12

Znaczenie wyrazów.

1. Rzeka
2 Góry
3. Miasto
4. Ptak
5. Ryba
6. Zwierzę
7. Owoc
8. Jagoda
9. Drzewo
10. Roślina
11. Kwiat
12. Kwiat

Środkowe litery tych wyrazów dadzą tytuł wspaniałej opery.

Jako nagrodę za rozwiązanie wszystkich powyższych przeznaczamy powieść Jerzego Żuławskiego **„Na srebrnym globie“.**

Rozwiązania z Nru 20.

Rebus: Krytyka bezstronna wytyka wady, ale i zalet nie ukrywa.

Szarady: I. Dekadenci. II. Policmajster. III Cerata.

Arytmogryf: Lucyan Rydel.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: Jan Biegoń Slemień, R. Żabka Biała, J. Bojnik Bełz, M. Fiedlerowa Rozwadów, S. Fiedler Rozwadów, Bonke Kraków. S. Mika Nowy Sącz, K. Fuchs Peczeniżyn, ks. Piątkowski Olesko, J. Malikowa Bolechów, M. Arbesbauer Lwów, Z. Gocka Rożniatów, B. Ramułtowa Jeżów ad Bobowa, St. W. Andrysik Podgórze, St. Stach Kraków, J. Ramoszyńska Borysław, P. Piasecki Rzepińce, M. Rożański Nowy Sącz, L. Przewoźniczek Sieniawa, W. Kamiański Sokal, T. Domain Sanok, I. Wybranowska Przemyślany, H. Zielińska Manajów, T. Wasiewiczowa Baranów, O. Urbanowska Lwów, H. Dydacka Żurawno, M. Cetera Dubiecko, M. Opolska Czarny Dunajec, M. Zollnerówna Tarnopol, Remiszewski Załawie, J. Haberman Mikulińce, Stadnik Grabiny, St. Łaszkiewicz Słotwina, E. Gralewski Kraków, Fr. Fonfert Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. J. Ramoszyńska w Borysławiu. Prosimy o nadesłanie 50 hal. na koszta przesyłki.

Z PARKU KRAKOWSKIEGO.

Kraków pozbawiony był przez długi czas porządnego teatru i przyzwoitego Varieté. Dzisiaj rzeczy pomyślniejszy biorą obrót. Stara dyrekcya teatru miejskiego, nieudolna i nie zdająca sobie sprawy z doniosłości kierowania sceną, ustępuje, a równocześnie i dawne Orfeum Friedmana kończy swój suchotniczy, nędzny żywot przy ul. Zielonej.

Kraków odczuwa potrzebę teatru rozmaitości, czego najlepszym dowodem przepełnienie, jakie panuje w gustownie urządzonym teatrze rozmaitości w Parku Krakowskim. Program doborowy, siły atrakcyjne pierwszego rzędu, wyborna a tania restauracya i zawsze świeże piwo, oto zalety dla których publiczność tłumnie uczęszcza do teatrzyku. Z pięknego programu wymienić należy odważnych rowerzystów jeżdżących po płocie, piękną kreolkę, słowika egzotycznego, wybornego komika Wernera, ewolucye z obręczami itd.

Na odwrotnej stronie załączamy portret imitatora instrumentów muzycznych oraz komika Wernera.

Od 1-go b. m. przygotowuje Dyrekcya cały szereg niespodzianek scenicznych w postaci wybornych śpiewaczek, żonglerów, siłaczów itp. atrakcyi.

Z PARKU KRAKOWSKIEGO



SEPPL WERNER
HUMORYSTA.



ROBERT ROLAND
NIEZRÓWNANY MISTRZ IMITATOR WSZYSTKICH INSTRUMENTÓW

Teatr Rozmaitości w Parku Krakowskim

Popis zupełnie nowych, pierwszorzędnych sił artystycznych

Przedstawienia odbywają się codziennie — Początek o godzinie 8-mej wieczorem.

W niedzielę, d. 28 maja b. r. KONCERT MUZYKI WOJSKOWEJ **początek o godzinie 3 po południu.**

W niedzielę, dnia 11 i w poniedziałek 12 czerwca b. r. (Zielone święta) **NOC WENECKA** NIEBYWAŁY PROGRAM. **Początek o godz. 4 po południu, koniec rano. Wstęp od osoby 50 hal.** **Dwa Przedstawienia Teatru Rozmaitości!**

SALON KOSMETYCZNY

PRZY UL. BISKUPIEJ L. 14

poleca najlepsze aparaty i preparaty do pielęgnowania twarzy, włosów, rąk i palców. Wszelkie środki są zbadane i polecone przez Dra **Lustra**, specjalistę kosmetyki lekarskiej w Krakowie.

WILLA

w Ustroniu, Śląsk austr.

z parkiem, obok nowo urządzonych kąpieli mułowych, w prześlicznem położeniu, z bardzo pięknym widokiem na otaczające góry, jest od 1-go lipca **do wynajęcia,** ewent. **do sprzedania.**

Bliższe wiadomości u właściciela

Ludwika Staszka w Ustroniu.

ZAKŁAD ŚW. JÓZEFA

dla osieroconych chłopców

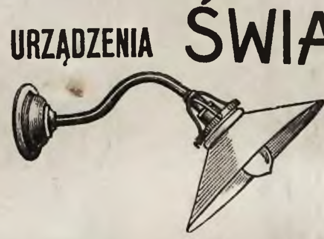
w Krakowie, przy ulicy Karmelickiej l. 66

poleca na sezon wiosenny:

nasiona warzywne, kłęcze, cebulki i nasiona kwiatowe, sadzonki kwiatowe i warzywne, szczepy i krzewy owocowe, róże wysoko- i niskopienne. **Wielki wybór roślin doniczkowych i t. p.**

Cenniki na żądanie opłatnie.

URZĄDZENIA **ŚWIATŁA ELEKTRYCZNEGO**





i przeprowadzenia prądu
dla przeniesienia siły
podejmuje się firma:

LIBMANN I MACHAUF

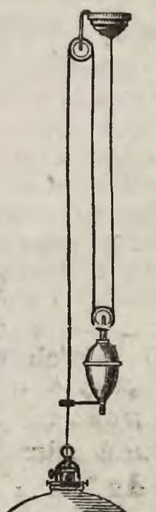
SKŁAD PRZYBORÓW TECHNICZNYCH

KRAKÓW, UL. LUBICZ 7

(NAPRZECIW DWORCA KOLEJOWEGO)

TELEFON L. 360





Na składzie utrzymujemy elektromotory, wszelkie przybory do światła elektrycznego jakoteż

ŚWIECZNIKI

w różnych stylach i do różnych celów.
Kosztorysy udzielamy bezpłatnie.

Apteka Fort. Gralewskiego w Krakowie, ul. Szczepańska 1 poleca następujące wyroby własne:

Petrogen „Jahra" wyśmienity środek do konserwowania włosów, usuwa łupież i swąd z głowy, wzmacnia cebulki włosowe i zapobiega wypadaniu. — **Cena** flakonu koron 2 i 4.

„Jahra" Kali chloricum pasta do zębów, wybiela zęby, desinfekcyonuje i konserwuje jamę ustną. Tuba 80 hal.

„Jahra" Antyseptyczna woda do ust, znakomita woda do utrzymania zdrowych zębów i do płukania ust. Flakon koron 1·20.

„Jahra" Wata Mentoformolowa wyśmienity środek przy katarach nosa. — Pudełko 40 hal.

Do nabycia we wszystkich większych handlach

PARVEOL



Marka ustawowo chroniona.
Tylko tą marką zaopatrzone paczki są prawdziwe.

NAJCZYSTSZE
GWARANTOWANE
MASŁO ROŚLINNE
zastępuje najzupełniej masło naturalne.
Niezbędne w każdej kuchni do gotowania, smażenia i pieczenia. 167

Z FABRYKI JON. SINGERA w BIELSKU (Szląsk austr.)
Jen. zastępca dla Galicyi i Bukowiny: Szymon Loria, Kraków, Sebastyana 20.

Oryginalne **SINGERA**

Należy uważać na markę fabryczną

THE SINGER MANF'G. CO. TRADE MARK

Maszyny do szycia

Singer Co. Tow. akcyjne maszyn do szycia.

Na wystawie światowej w St. Louis (Stan Zjednoczone)
otrzymały
Oryginalne Singera maszyny do szycia
za niezrównaną wielostronność w wykonaniu robót
najwyższe odznaczenia:
Siedm „Grand Prix"
Siedm złotych medali

Singer Comp. Towarzystwo akc. Maszyn do szycia
Kraków: ul. Szpitalna 40 naprzeciw teatru miejskiego, Kazimierz, ul. Wolnica.
Filie w Zachodniej Galicyi: Tarnów: ul. Wałowa 13.
Rzeszów: Trzeciego Maja 5.
Nowy Sącz: ul. Jagiellońska.
Chrzanów: Mickiewicza.
4

HOTEL I RESTAURACYA „METROPOLE"
KRAKOW, ULICA ŚW. GERTRUDY L. 28
poleca Szan. P. T. Publiczności bardzo elegancko urządzona na wzór zagraniczny pokoje od 2 K wyżej. Obsługa szybka.

Hotel posiada 40 eleg. urządzonych na wzór zagraniczny pokoi od 2 K. Ogród z werandą.



Stacya kolei elektr. Telefon do użytku P. T. Gości. Obok hotelu gł. urząd poczt. i telegr.

Znakomita kuchnia domowa. Potrawy b. smaczne w wielkim wyborze po przystępnych cenach. Piwo pilzneńskie beczkowe. Obsługa szybka i rzetelna. Z poważaniem S. KUBI'E.

WĘGIERSKA
RÓŻANA Papryka Szegedyńska najlepsza, słodka, ręczę za prawdziwość, uznanej znakomitej jakości, własnego wyrobu klg. za 5 K. Wysyłka za zaliczką, począwszy od 1 klgr. opłatnie. Dalsze specyalności: **Słonina, węgierskie salami** itp. b. tanio.
Dom wysyłkowy różnorodnych produktów krajowych
Haupt A. Rudolf, Budapest
VII. Ovodagasse 22.

„FLORA"
PRACOWNIA SUKIEN DAMSKICH
I SZKOŁA KROJU.
KRAKOW, PODWALE 13.

ZAŁOŻONA W R. 1863
PIERWSZA KRAJOWA PAROWA **FARBIARNIA i PRALNIA CHEMICZNA**
J. LANGIERSKA
(PRZEDTEM MIEDING)
we LWOWIE
czyści chemicznie apretuje i farbuje



wszelkie materye jedwabne i wełniane, niepruta i pruta ubiory męskie, suknie damskie i dziecinne, uniformy oraz futra, pióra strusie itp.

KANTORY PRZYJĘCIA:
LWÓW ul. Jagiellońska 20
„ „ Akademicka 26
KRAKÓW plac WW. Świętych 8
STANISŁAWÓW Sobieskiego 13

PRACOWNIA
w domu własnym ul. Janowska L. 38 a.
Wykonanie szybkie i dokładne.
Cenniki na żądanie bezpłatnie.
Przesyłki z prowincyi załatwia się do 10 dni.

Poleca rozmaite wyborne gatunki
KAWY
codziennie świeżej
równo i pięknie palonej najnowszym i najlepszym sposobem
za pomocą gorącego powietrza
odznaczającej się najprzedniejszym czystym smakiem, pełnym i silnym zapachem, największą wydatnością, a zarazem posiadającą własność utrzymywania przez czas długi smaku i zapachu, w niezmienionej pierwotnej świeżości
po cenach bardzo przystępnych.
Na prowincyę wysyła od czterech kilgr. począwszy
codzień świeżo
paloną kawę 2—14
opłatnie.

Pierwsza Krakowska
elektro-mechaniczna
PALARNIA KAWY



M. JAWORNICKI
KRAKÓW
Rynek gł. 44.

OZDOBA DLA KAŻDEGO POKOJU!

Tylko krótki czas!



Z powodu zwinięcia fabryki udało mi się tanio zakupić 8000 dywanów ścien. i 11.000 dywaników przed łóżka tak, iż jestem w stanie wspaniały
Dywan ścienny
szenilkowy
obustronnie jednakowy w pięknych prawdziw. barwach 100 cm. szeroki, 200 cm. długi o cudownych deseniach: Lwy, psy, rodziny renie, łabędź, paw, jeleń, Perskie, kwiaty etc. za zaliczką posłać **po złr. 2·50** Szczególnie polecenia godny do wilgotnych pokoi, ponieważ dywan jest tak gruby, że się wilgoć nie przedostaje.

Dotychczas niebywałe ceny.

Piękne dywaniki przed łóżka tylko 70 ct. sztuka
PIERWSZY MORAWSKI EKSPORTOWY DOM TOWAROWY
JULIUS HOITASCH, GODING Nr. 120 (Morawy).
Setki podziękowań i dalszych zamówień znajduje się u mnie. — — — Nieodpowiednie zostaną bez trudności przyjęte z powrotem pieniądze zwrócone.

Nowości w bluzach, halkach i bieliźnie

M. Beyer i Spółka
Kraków
Sukiennice l. 12, 13, 14





Ubrania na zamówienia od 20 złr.

Ubrania gotowe od 10 złr.
Fraki, surduty od 20 złr.
wyrób krajowy

Kraków, ul. Floryańska 7 tuż przy Rynku.
Filia: Lwów, pl. Halicki 7 14

Związek katolickich Krawców.

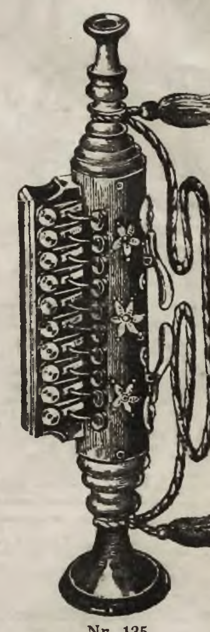
BEZ NAUCZYCIELA!
BEZ NAUKI I BEZ ZNAJOMOŚCI NUT!


Nr. 134.

może każdy grać na mojej trąbce samogrającej i flecie: pieśni, tańce, i marsze. Poleca się szczególnie na wesela i zabawy. Do każdego instrumentu dodaje się darmo łatwo zrozumiałą szkołę. Przesyłka za zaliczką przez dom wysyłkowy instrumentów muzycznych

A. Scheuer w Krakowie ul. Grodzka 59/6.

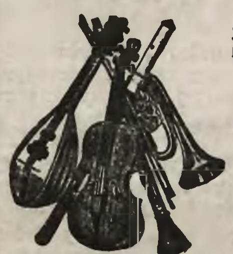
Bogato ilustrowane cenniki instrumentów muzycznych oraz zabawek na żądanie darmo i opłatnie.


Nr. 135.

Nr. 134. Trąbka samogrająca ma 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, 36 cm., złr. 1·10, 3 szt. złr. 3.

Nr. 135. Flet na 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, fason cylindrowy, 40 cm., złr. 1·50, 3 szt. złr. 4.

Darmo i opłatnie otrzyma każdy mój bogato illustrowany cennik **Instrumentów muzycznych** oraz różnych **ZABAWEK**





A. Scheuer, Kraków
ulica Grodzka l. 59/6. 7-52

Kart widokowych z każdej miejscowości podług fotografii, rysunku, dla p. p. księgarzy, kupców, Kółek rolniczych, dostarcza w artyst. wykonaniu, szybko i taniej niż w Niemczech
Henryk Frist, Kraków
właśc. konces. przez c. k. Namiestnictwo Salonu artystycznego.

Lodownie pokojowe, Lodownice amerykańskie, Formy na lody, Siatki druciane od much, Żelazka do prasow. na spirytus poleca
Tom. Górecki, Kraków.

MAGAZYN MEBLI ŻELAZNYCH, MATERACÓW SPRĘŻYNOWYCH I WYROBÓW DRUCIANYCH
KRAKOWSKIEJ FABRYKI **JÓZEFA GORECKIEGO**
ul. Starowiślna l. 44 w parterze, fabryka ul. św. Wawrzyńca l. 26. telefon Nr. 277.
14-22



Na żądanie wysyłam **wielki CENNIK illustrow. zegarów**, wyrobów jubilerskich z chińskiego srebra i t. p.
F. Pamm, Kraków
ul. Zielona 3, II. p.

UNIWERSALNY ORGAN INFORMACYJNY
„Informator“
Kraków, ul. Szpitalna 34
poleca:
Wykazy wolnych posad i zajęć.
Wykazy majątków ziemsk. i realności celem sprzedaży kupna i dzierżawy.
Wykazy wolnych mieszkań i lokali do wynajęcia, tudzież
Wykazy letnich mieszkań.
Prenumerata wynosi: rocznie 12 K. półr. 6 K, kwart. 3 K. Pojedynczy numer 50 hal.
Zgłoszenia wolnych posad i zajęć przyjmuje redakcya bezpłatnie i z wdzięcznością.

Eleg. spodnie spacerowe złr. 2·50
poręczonej doborowej jakości, trwałe, posiadające najnowszy fason, solidny kolor i nienaganny wiedeński krój, sprzedajemy **za bezcen** jedynie z powodu olbrzymiego zapasu; przy odbiorze 2 par złr. 4·75. Przy zamówieniu wystarczy podać całą długość, objętość w pasie i długość w kroku. Wysyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy przez
Dom Exportowy ubiorów męskich i dziecinnych
KRAKÓW, GRODZKA 31.
Nieodpowiednie zamienia się bez jakichkolwiek trudności. Każde zamówienie na miarę z garderoby męskiej i dziecinnej zostanie również bardzo szybko i rzetelnie po najtańszych cenach fabrycznych uskutecznione. Aby się każdy mógł przekonać, o naszych niezrównanie niskich cenach, prosimy uprzejmie o zamówienie próbne i o liczne zwiedzanie naszego składu fabrycznego
Kraków, ul. Grodzka 31. — Dostawcy związku c. k. urzędników państwowych. — Filie w Łańcucie i w Gorlicach. 2 10-29



Spłaty częściowe!
dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.
Bezsprzecznie największy wybór!
Renomowana i powszechnie znana firma
Dom towarowy „AU LOUVRE“
we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana)
poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarze) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.
Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.
By ujść pomyłkom, prosimy na nasz adres dokładnie zważać.
Z poważaniem Zarząd firmy:
Dom towarowy „Au Louvre“
Lwów, Sykstuska 6.

Na sezon obecny polecamy P.T. cyklistom znakomite rowery i koła motorowe słynnej marki:
„PUCH RAD“
firmy: JAN PUCH
PIERWSZE STYRYJSKIE TOWARZYSTWO AKCYJNE FABRYKI ROWERÓW W GRACU.
Na składzie utrzymujemy również **rowery** fabryki:
„METEOR“
jakoteż wszelkie przybory rowerowe w wielkim wyborze.



Libmann i Machauf
Kraków, ul. Lubicz 7.

Aparaty fotograficzne, zawsze świeże klisze, papiery oraz wszelkie inne przybory fotograficzne poleca po cenach nader niskich
Niemetz i Sp. w Krakowie, Szewska l. 2 pierwszy dom od rynku.

BIURO
NAUCZYCIELSKIE
Stefanii Łapszów z Trembeckich Zwilling
Kraków, ul. św. Jana l. 2 róg Rynku Głównego
poleca:
Nauczycielki, Guwernantki, Nauczycieli, Guwernerów oraz Wychowawczynie i Bony różnej narodowości.

CUKIERNIA
Kazimierz Sotschek
LWÓW
poleca się P. T. Publiczności.
Bufet w teatrze miejskim.
Wszelkie zamówienia wykonuje odwrotną pocztą.

Posiadacze losów
mogą u nas dostać za nie pełny kurs dzienny i na życzenie te same losy (tj. te same numera) grając na nie bez przerwy, nabyć na dogodne spłaty miesięczne. Losy gdziekolw. zastawione, wykupujemy i przeprowadzamy powyższą transakcyę. Polecamy uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów bankowych. Kupno i sprzedaż obligacyj, losów i monet. — Ajentów żadnych nie wysyłamy. — Kalendarzyk bankowy bezpłatnie.
Schütz i Chajes, Dom bankowy we Lwowie, plac Maryacki 7.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.